

nr 5 wrzesień 2015

egzemplarz bezpłatny

PRZEZ PRYZMAT

miesięcznik społeczno-kulturalny



ISSN 2449-5549

Break jak... książka

Wbrew grawitacji i mamie

Sentymentalnie przy ryku silników

Piewczynie Podlasia

Misiem w paragraf

Winyłe i szpilki na Trawniku

Katarzyna Fronc



Cud, miód i orzeszki

Mam różnych znajomych. Mają swoje słabości – jak każdy. Jedna z koleżanek otwarcie przyznaje, że cierpi na chroniczny brak ciuchów. Typowa kobieta – nigdy nie ma się w co ubrać, choć szafa pęka w szwach, a garderoba się nie domyka. Ale zawsze jest niedobór spódnicy o odpowiedniej w danym sezonie długości czy apaszki w kolorze fukcji. No bywa.

Z racji posiadania dziecka, małego i absorbującego, nie ma szanowna koleżanka czasu na shoppingi i włóczenie się po galeriach. Zresztą, mąż by tego nie wytrzymał nerwowo, a ona zdrowie rodziny stawia najwyżej w swej hierarchii wartości. Zostaje wyjście całkiem wygodne i satysfakcjonujące mamę na pełen etat – zakupy on-line! – Jestem nimi zachwycona i... trochę od nich uzależniona – przyznaje otwarcie. Podczas gdy dzieciak bawi się pod jej okiem, czujnym ma się rozumieć, ona siedzi w fotelu z laptopem na kolanach i wkłada do wirtualnego koszyka co popadnie. W końcu zawsze można oddać. Tym bardziej, gdy produkt jest niezgodny z opisem. – Częściej mi się zdarza rozczarować ludźmi niż nową kiecką kupioną w necie – mówi. No cóż... Brzmie gorzko, ale prawdziwie. Łatwiej znieść rozczarowanie, kiedy buty z internetowego sklepu okazują się za małe, niż kiedy zawodzi rozrywka kulturalna, która odrywa nas od komputera i dzieciaka.

Załóżmy, że odprowadzamy pociechę do dziadków, żeby spędzić miły wieczór gdzieś na mieście, kapcie rzucając w ką. – Jak już kupię nową kieckę, chciałabym gdzieś się w niej pokazać – uśmiecha się szelmowsko koleżanka i ciągnie na przedstawienie rozreklamowane kolorowo i głośno. Idę i oceniam – sukienka git, ale spektakl... Łagodnie rzecz ujmując – niedoskonały. – Bo ty to masz za duże oczekiwania – słyszę po jednym z dłuższych w moim życiu dwóch godzin. Może i mam, ale opakowanie produktu zachęcało, więc miałam nadzieję, że w środku znajdę coś równie interesującego. Nic z tego – zawartość jakaś taka kanciasta i koślawa z lekka. Co prawda posypana błyszczącym brokatem, oświetlona jasnymi fleszami, ale to by było na tyle. Blichtr, nic ponadto, choć inicjatywa cenna. Koniecznie trzeba oszlifować ten diament.

Opakowanie nie zawsze jest rekomendacją, choć niewątpliwie powinno nią być. Szczerze wierzę, że nasza okładka zachęci Państwa do lektury kolejnego wydania naszego miesięcznika. „Przez Pryzmat” pokazuje tym razem gibką i silną tancerkę pole dance, motocyklistów – patriotów w sentymentalnej podróży, zapomnianą piewczynię Podlasia, autorkę lokalnych legend i podań, wywijających na parkiecie breakdancowców, dziewczyny na garażowej wyprzedaży, zdolnego muzyka... Jest różnorodnie, jak zwykle, i bez zadęcia. Jakby powiedziała moja koleżanka od zakupów on-line: cud, miód i orzeszki. Do schrupania. ◀

INICJATYWY

Misiem w paragraf
– Gabriela Kuc-Stefaniuk 3

FELIETON

Proszę Pana, Pan tu nie stał
– Gabriela Kuc-Stefaniuk 4
Sztuka emocji – Błażej Użyczyn 5

REPORTAŻ

Sentymentalnie przy ryku silników
– Jakub Jańczuk 6

INICJATYWY

Winyłe i szpilki
– Gabriela Kuc-Stefaniuk 9

WYWIAD

Break jak niedokończona książka
– rozmowa Dominika Masalskiego 10

WYRYSOWANE

Kino letnie – Łukasz Artyszuk 11

PASJE

Wbrew grawitacji i mamie
– Katarzyna Fronc 12

HISTORIA

Piewczyni Podlasia
– Edyta Tyszkiewicz 14

INTEGRACJA

Razem dla niepełnosprawnych
– Renata Szwed 16

MOTORYZACJA

Motolotnisko
– Arkadiusz Michlewicz 16

WYWIAD

Wykorzystałem, co los mi przyniósł
– rozmowa Edyty Tyszkiewicz 17

FELIETON

Muzyczna pustynia z oazami
– Marek Wasilik 19

OD KUCHNI

Sielski klimat, swojski smak
– Małgorzata Tymoszek 20

PSYCHOLOG

Siła człowieka – Karolina Laszuk 21

DZIEJE SIĘ 22

KULTURA

Nie dać się jesieni
– Justyna Kirczuk 22

DZIAŁO SIĘ 23

PRZEZ PRYZMAT



Konkurs, konkurs



Debiutancki album białskiego zespołu Frostbite miał w ubiegłym miesiącu swoją premierę. Ci, którzy jeszcze go nie posiadają, mają okazję to zmienić. Dla czytelników „Przez Pryzmat” mamy trzy płyty. Wystarczy na nasz adres e-mail – przez-pryzmat@o2.pl – przysłać wiadomość, wpisując w treści tytuł albumu. Dostaną go od nas trzy pierwsze osoby. Powodzenia.

Redaktor naczelna: Katarzyna Fronc
tel. red. 535 962 562, 668 151 967.

www.facebook.com/przez.pryzmat.2015, e-mail: przez-pryzmat@o2.pl

Redakcja: Renata Szwed, Gabriela Kuc-Stefaniuk, Edyta Tyszkiewicz, Małgorzata Brodowska, Justyna Kirczuk, Małgorzata Tymoszek, Karolina Laszuk, Jakub Jańczuk, Błażej Użyczyn, Dominik Masalski, Paweł Cajnger.

Fot.: Grzegorz Dorozuk.

Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A

Wydawca: OPENPRESS s.c. M. Krekora, W. Szawarniak www.openpress.pl

Treści zawarte w czasopiśmie „Przez Pryzmat” chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

Nakład: 3000 egz.

Gabriela Kuc-Stefaniuk
 fot. archiwum



Zło dobrem zwyciężaj – to projekt bialskiej Spółdzielni Socjalnej Progres łączący resocjalizację, działalność charytatywną i propagowanie ekonomii społecznej. Skorzystali na nim przede wszystkim najmłodszy pacjenci bialskiego szpitala, ale również więźniowie, którzy z zaangażowaniem przez kilka tygodni szyli maskotki.

Misiem w paragraf

Na forach internetowych czy w komentarzach pod tekstami traktującymi o osobach, które weszły w konflikt z prawem, często można przeczytać opinie, których autorzy z agresją wypowiadają się na ich temat. Oczywiście – wykroczeń i przestępstw nie należy pochylać ani im pobyłać, ale wydaje się, że postulaty kompletnego wyizolowania osób, które ich dokonały, są wyrażane zbyt pochopnie. Szybko skazujemy innych na społeczny niebyt. Istotnym argumentem jest powtarzające się oskarżenie: „żyją na koszt podatników”. To prawda, jednak idealne społeczności nie istnieją, konflikty z prawem są smutnym elementem społecznego życia, choć wolelibyśmy, by w ogóle takie pojęcie nie istniało w naszym słowniku. Ten istotny ekonomiczny aspekt powinien właśnie dać nam do myślenia: skoro łożymy na osadzonych i więźniów, powinno nam zależeć, by pobyt w zakładach karnych miał pozytywne skutki. Bo nie kto inny, ale my, społeczeństwo, odnosimy korzyść z tego, że ktoś ma ochotę podjąć trud resocjalizacji, a ona się powiedzie.

Powrót z marginesu społeczeństwa

Za bardzo pozytywne zjawisko należy uznać podejmowanie przez Zakład Karny w Białej Podlaskiej inicjatyw, które w pewien sposób otwierają tę placówkę, zamkniętą przecież na co dzień murami przy ul. Prostej. Coraz częściej słyszy się o aktywności osadzonych w bialskich przedsięwzięciach. Tym samym oswaja się w społecznej mentalności problem resocjalizacji. Potoczna opinia jest taka, że nie ma ona sensu i jest stratą czasu i pieniędzy.

Inne podejście do tej kwestii mają inicjatorzy warsztatów, które wraz z Wojewódzkim Szpitalem Specjalistycznym i Zakładem Karnym zorganizowano pod hasłem „Zło dobrem zwyciężaj!”: Bialska Spółdzielnia Socjalna Progres i nieformalna grupa Niewyjściowi. Nauka szycia i stworzenie maskotek dla pacjentów oddziałów pediatrycznego i neonatologii bialskiego szpitala to jeden z projektów, jakimi poskutkowało liczne dyskusje na temat społecznej ekonomii i resocjalizacji osadzonych. Naprzeciw pomysłowi wyszły świadome idei i celowości takich akcji panie z Bialskich Cudów, którym prezesuje Joanna Ołęcka.

26 sierpnia w Centrum Dydaktyczno-Administracyjnym bialskiego szpitala projekt podsumowano. W konferencji prasowej, oprócz reprezentantek spółdzielni Progres, uczestniczyli reprezentanci ZK razem z dyrektorem Leszkiem Wojciechowskim, ordynatorzy oddziałów partycypujących w projekcie – Elżbieta Skrzypczak i Riad Haidar, zastępca dyrektora ds. rozwoju szpitala Joanna Kozłowiec oraz przedstawiciele samych wykonawców, osadzonych. Trzeba podkreślić duże zainteresowanie mediów, nie tylko lokalnych, ale również regionalnych i ogólnokrajowych.

Z sensem dla więźniów i uśmiechem dla dzieci

Jest oczywiste, że tego typu podsumowania przebiegają w miłej atmosferze, która jest efektem zadowolenia wszystkich stron z pozytywnego przebiegu przedsięwzięcia, ale nie to wydaje się być podstawą refleksji, która rodzi się w takim kontekście. Szycie maskotek przez wytatuowanych panów może się wydawać pomysłem bez głębszego sensu, jednak w rzeczywistości takie działania sens mają. Po pierwsze: nie wiemy tak naprawdę, co czują najmłodszy pacjenci szpitala. Jak mówiła Joanna Kozłowiec, pobyt w nim zawsze wiąże się z cierpieniem. Im więcej pozytywnej energii im się przekazuje, tym łatwiej im jest znosić trudy chorób. Potwierdzą to pewnie nawet zagorzali przeciwnicy ezoteryki. Po drugie, co podkreślił Leszek Wojciechowski, w ten sposób podejmuje się jedną z prób przywracania osób przez pewien czas wyłączonych ze społecznego życia społeczeństwu właśnie. Po trzecie, jest to forma nabycia nowych umiejętności. Trywializując, można powiedzieć, że robotki ręczne działają kojąco, a wręcz terapeutycznie. Traktując rzecz poważnie, w dzisiejszych czasach podziały na zajęcia damskie i męskie właściwie przestają mieć jakąkolwiek rację bytu.

Spółdzielnia Progres przekazała bialskiemu Zakładowi Karnemu dwie maszyny do szycia, więc jest możliwe kontynuowanie zajęć przez innych osadzonych. Maskotki dla dzieci nie są może dokonaniem wielkim czy epokowym, ale zdecydowanie większe szanse na obudzenie w kimś, w kim kiedyś czujnik przekroczenia granic dobra i zła się wyłączył, ma gałgankowy miś niż pełen jadu komentarz. <

Gabriela Kuc-Stefaniuk

Proszę Pana, Pan tu nie stał!



„Bank. I tam zdarza się, że trzeba zaczekać. Czekam więc, i już już nadchodzi moja kolej, gdy do banku wtacza się pani o rubensowskich kształtach z uśmiechem pt. „Oto ja, przecież wszyscy wiedzą, kim jestem” (bo pani zajmuje ważne miejskie stanowisko) i mija mnie bez słowa, pakując się na krzeselko. Nie wytrzymałam. Podeszłam i zapytałam, czy trzeba być w jej kategorii wagowej, żeby zostać dostrzeżonym.

Mój synek przytaszczył ostatnio do domu na nóżce nieproszonego gościa, kleszcza, w związku z czym musieliśmy się udać do najbliższej placówki medycznej. Kolejka do gabinetu zabiegowego w czwartkowe popołudnie była spora, a średnia wieku kolejkowiczów 25+. Wiadomo, nikt w kolejkach stać czy siedzieć nie lubi, zwłaszcza jak go boli czy uwiera. Ale co zrobić. W pewnym momencie na korytarz wparował pan (50+) z synem (12+). Bez „dzień dobry” czy jakiegokolwiek innej typowej reakcji wpadł do gabinetu (trafił, skubany, na przerwę między pacjentami), na chwilę z niego wypadł, po czym wpadł jak bumerang ponownie i po 20 minutach wyszedł z synem. Bez „do widzenia”. Zauważam, że syn nie wyglądał na takiego, by mu dolegało coś bardziej niż pozostałym kolejkowiczom. Konsternacja zapanowała chwilowa w kolejce, ale w milczeniu się porozumieliśmy, że sytuacji właściwie nie ma sensu komentować. Pan w wieku 50+ jakoś mi jednak utkwił w pamięci. Bo to już jest ten wiek, w którym częstotliwość psioczenia na „młodych” się zwiększa, właściwie jest to uważane za przywilej, a nawet obowiązek „starszych”.

Każdego irytują czasem zachowania młodszych, ale obserwacja starszych doprowadziła mnie ostatnio do wniosku, że oczekiwanie na szacunek z racji wieku często mija się kompletnie z poczuciem, że zdobywa się go, dając jakiś wzór. Szacunek nie jest stałym dodatkiem do pakietu „wiek emerytalny”. W maju poszłam z koleżanką, posagową blondynką, urodą i wzrostem spełniającą standardy modelki, na koncert. Usiadłyśmy grzecznie w sali przy ul. Brzeskiej i w tym samym momencie usłyszałyśmy sceniczny szept pań siedzących z tyłu (średnia wieku 65+) wyrażających niepokój i niezadowolenie, że będziemy zaślaniać. Wyraziłyśmy szczerą chęć zamiany miejsc, ale panie się nie zgodziły. Za chwilę zaczął się koncert. A raczej dwa. Jeden przed, drugi za nami. Z przodu jazz, z tyłu rap tleniony zbulwersowany: „łysa”, „śpiewać nie umie”, „jak ona wygląda!”, „o, i tak będzie stać i wyć”. Słyszałam dosłownie jak fabryka adrenaliny i hormonu złości w koleżance zwiększyła obroty. Po

20 minutach nie wytrzymała, odwróciła się i zaproponowała paniom wyjście albo przynajmniej ucieszenie się. Panie się obraziły. Bezczelni ci młodzi.

Ten sam miesiąc, maj. Komunie. Podczas uroczystości dzwoni telefon pani z przodu (55+), który ta z radością odbiera i tłumaczy rozmówcy, że ona nie może rozmawiać, bo „jest w kościele, jest do bani, długo, zimno i but ją uwiera”. To, że moja siostrzenica (lat 16) nie rusza się, nie je, pewnie też nie śpi bez telefonu przy sobie, trudno mi zrozumieć, ale pani w kościele rozłożyła mnie na łopatki całkowicie. Bo liczę na to, że Marysię (lat 16), wychowaną już w erze pilotów, komórek i wi-fi, można jeszcze nawrócić, ale tej pani to już chyba nie. I zastanawiam się, jak ona sobie, bidulka, radziła bez telefonu przez zdecydowanie większą część jej życia, kiedy komórek nie było.

I wróć do kolejki. Bank. I tam zdarza się, że trzeba zaczekać. Czekam więc, i już już nadchodzi moja kolej, gdy do banku wtacza się pani o rubensowskich kształtach z uśmiechem pt. „Oto ja, przecież wszyscy wiedzą, kim jestem” (bo pani zajmuje ważne miejskie stanowisko) i mija mnie bez słowa, pakując się na krzeselko. Nie wytrzymałam. Podeszłam i zapytałam, czy trzeba być w jej kategorii wagowej, żeby zostać dostrzeżonym. Na twarzy pani (60+) odmawiało się bezbrzeżne zdziwienie, na twarzy pani z banku przerażenie, ale i skrywany uśmiešek. Batalię o krzeselko wygrałam. Nie jestem jakoś szczególnie dumna ze złośliwostki na temat wagi, ale przeproszać też nie będę. Bo tak sobie myślę, ile nawyków pani na stanowisku przejęły osoby, które się od niej, bądź co bądź, w pracy uczą.

Zdecydowanie wolałabym, by kolejkowe przekręty były młodszemu pokoleniu znane tylko jako opcja z popularnej ostatnio gry „Kolejka”. Takie sentymentalne nawiązania do epoki, za którą chyba nikt naprawdę nie tęskni, są zdecydowanie fajniejsze niż zderzenie z jej zwyczajami oko w oko. Szanujmy starszych, ale i niech starsi jednak mają się trochę na baczności. Ktoś powie, że to nie problem typowo bialski – pewnie że nie, ale jak podkreślają mądrzy ludzie, sprzątanie świata zaczyna się od porządkowania najbliższych kątów. <

Osoby i firmy pragnące dołączyć do grona naszych mecenasów i sponsorów
lub chcących zamieścić reklamę na łamach „Przez Pryzmat”,
prosimy o kontakt mailowy – przez-pryzmat@o2.pl lub pod nr tel. 535 962 562, 668 151 967.

Sztuka emocji

Punktem wyjścia mojego pierwszego, i mam nadzieję nie ostatniego felietonu do miesięcznika „Przez Pryzmat”, jest zdarzenie, które miało miejsce dekadę temu. Przebywałem wówczas w Londynie, a na szczycie mojej listy miejsc do zobaczenia, znajdowało się British Museum i wystawione tam fryzy z ateńskiego Akropolu. Wcześniej wielokrotnie czytałem o tych płaskorzeźbach. I czego, i kogo bym nie czytał, każdy autor był zachwycony pięknem tych arcydzieł. I oto stanąłem w muzealnej sali, sam wobec antycznego piękna. I co przeżyłem? Rozczarowanie. Nie poczułem absolutnie nic, żadnego zachwytu, jedyne co nastąpiło, to zamiana ekscytacji na rozczarowanie.

Tamtego dnia nabawiłem się lęku, który przez długi czas towarzyszył mi, ilekroć miałem wejść do jakiegoś muzeum czy galerii. Lęk ten przybierał postać pytań typu: czy jestem w pełni człowiekiem, skoro w obliczu sztuki nic nie odczuwam?

Minęło sporo czasu i niemało wysiłku kosztowało mnie, uleczenie się z tej przypadłości. Katharsis przyszło w monecie, gdy zrozumiałem, że beznadziejną naiwnością jest oczekiwać pełni przeżyć w kontakcie ze sztuką, bez należytego obycia się z nią. Uzmysłowiłem sobie, że pełnoprawnego obcowania ze sztuką i wynikających z tego przeżyć uczymy się tak, jak uczymy się śpiewać, tańczyć, grać na jakimś instrumencie... Nikt nie oczekuje po sobie, że bez opanowania warsztatu, wejdzie na scenę i zacznie grać na gitarze. Tak samo jest z odbiorem

sztuki, aby w pełni przeżywać emocje, jakich może nam ona dostarczyć, należy uzbroić się w cierpliwość. Emocje i zrozumienie przychodzą z czasem.

Jest w Białej Podlaskiej impreza, która odbywa się rokrocznie, już od kilku dobrych lat. To Park Sztuki. Idea jest prosta – zapraszamy do naszego miasta artystów. Oddajemy im do dyspozycji na dwa dni park Radziwiłłowski, a oni zamieniają go w ogromną galerię pod gołym niebem. Nie ma takiego drugiego, tak szerokiego i cyklicznego przeglądu działań w obrębie sztuki współczesnej w naszej okolicy. Jest to doskonała szkoła odbioru sztuki i pogłębiania swojej wrażliwości w niezwykłym otoczeniu – w przestrzeni publicznej – rzecz by można, otoczeniu łatwostrawnym. Dzięki temu, ze sztuką spotkać się może każdy przechodzień. I każdy może z niej korzystać do woli. Nawet ci, którzy potem w internecie piszą, że miejskie pieniądze trawi się na wywieszanie prześcieradeł.

Ktoś zapyta się, po co uczyć się świadomego odbioru sztuki – przecież w naszym do szpiku kości pragmatycznym świecie takie umiejętności nie mają praktycznego zastosowania? Takim realistom, odpowiem cytatem z dzieła Zbigniewa Herberta, który wracając z Lascaux pisał: „Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności: jestem obywatelem ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności”. Tak, tak, obcując świadomie ze sztuką, stajemy się dziedzicami całej ludzkości, a to jest nieprzeliczalne i niepoliczalne. ◀



”

Jest w Białej impreza, która odbywa się rokrocznie (...). To Park Sztuki (...) Nie ma takiego drugiego, tak szerokiego i cyklicznego przeglądu działań w obrębie sztuki współczesnej w naszej okolicy.

MECENASI I SPONSORZY



PRYWATNY GABINET PEDIATRYCZNY
LEK. RIAD HAIDAR

Twój Tekst

tworzenie • korekta • tłumaczenie



SHINOBI



Zycie Białskie

PRYWATNA PRAKTYKA
STOMATOLOGICZNA
G. i D. MAKAREWICZ



Jakub Jańczuk

fot. Sebastian Białek, Robert Jagiełło

1100 kilometrów w pięć dni – niby nic wielkiego, a jednak... Chociaż całą robotę wykonują nie mięśnie, a konie mechaniczne i pojemność silnika, to jednak kluczową rolę odgrywają tu emocje i pasja. To one są siłą napędową wyjazdów jak ten. Na Kresy. Sentymentalna powtórka z historii, tylko taka całkiem namacalna.

Sentymentalnie przy ryku silników



Pod koniec maja tego roku wyruszyłem z ludźmi pasji na wyprawę motocyklową po dawnej Litwie. Sebastian Białek, główny projektujący naszej wyprawy motocyklowej, stworzył trasę po Białorusi, miejscach pamięci Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rok wcześniej miałem przyjemność być na podobnej wyprawie. Wtedy zwiedzaliśmy Pińsk. W tym roku trasa biegła wokół niemal całej Białorusi.

Niesieni emocjami

Wyruszamy o 6.00 rano, w ulewnym deszczu, na szyku na zakładkę na swych żelaznych rumakach. Czternaście dusz spragnionych wolności trasy. Sprawnie przejeżdżamy granicę w Terespolu, a w Brześciu kierujemy się na Kamieniec Litewski. Stoi tam ogromna 30-metrowa baszta z czerwonej cegły z XIII wieku. Wchodzimy. Obecnie mieści się tam muzeum gromadzące broje i eksponaty kultury „naszego regionu”.

Stojąc na szczycie baszty, patrzę na rzekę większą od Wisły, która płynie obok grodu. O czym myślę? O ludziach, którzy strzegli granic Rzeczypospolitej, wypatrując wroga wyłaniającego się z prastarej białowieskiej puszczy. Mogę się do tego przyznać, czemu nie? Przebiega mnie dreszcz. Białowieższkaja Puszcza

Mimo że aura niesprzyjająca, zimna i deszczowa, rozpalane emocje niosą nas, uczestników tej wschodniej wyprawy, do kolejnych miejsc.

Wjeżdżamy do białoruskiego Parku Narodowego Białowieska Puszcza. Po obu stronach wąwozu stoją patrzące na siebie majestyczne pomniki jeleni. Nawet nie boli, że to takie socrealistyczne „cuś”. Tę chwilę – gdy siedzę na motorze – chcę zachować pamięci. Na miejscu, w kompleksie białowieskiego Muzeum Przyrody, wrażenie robią nie tylko poziom utrzymania miejsca, logika układu budynków, ale przede wszystkim kultura osobista Białorusinów. Ci ludzie są najwyczajniej mili. Bez udawania, bez przymusu... Po całym dniu wypełnionym podróżą i zwiedzaniem docieramy do umówionej kwatery. I choć jesteśmy przemoknięci do suchej nitki, ja i moi kompani uśmiechamy się od ucha do ucha. Szczerze i z prawdziwą radością.

Słowińskie spa

Wchodzimy do dwupiętrowego budynku à la peerelowski klocek. Marek Walasek w swej niesamowitości tuż po wjechaniu na teren postoju prosi naszego gospodarza o napalenie w bani. To taka nasza słowińska sauna – spa naszych dziadów, którzy po znojnym czasie wiedzieli, jak pozbyć się toksyn z organizmu i odprężyć się po trudach dnia. I ja za sprawą bani zostawiam za sobą świat, jaki znam, ten szablonowy i przewidywalny.

Bania znajduje się w chacie z bali z widokiem na jezioro. Wchodzimy. Zapach ziół, cykanie świerszczy i odgłosy innych owadów... Prawdziwy koncert plenerowy. My, faceci na motocyklach, w skórach i tak daleki, słuchamy tej muzyki i patrzymy na gwiazdy odbijające się w tafli wody. Jesteśmy gości-

mi w innym świecie.

Kiedy w bani suszą się nasze ubrania, my biesiadujemy do późnych godzin, ze śpiewem na ustach. A noc mija niepostrzeżenie.

W Grodnie

Ranek wita słońcem. Deszczowa aura to już przeszłość. Obieramy azymut na Grodno. Kiedy wyjeżdżamy na białoruskie drogi, kolejny szok – są świetnie utrzymane, dwupasmowe, z dużą ilością rond.

W Grodnie gwar, a na najważniejszym skrzyżowaniu... czołg. Uśmiecham się – Rudemu 102 postawili pomnik.

Miasto ma piękną zabudowę. Widać piętno czasu. Podziwiamy architektoniczne perełki starych kamienic, kościołów i zamków. I zaczynamy zwiedzanie.

Nasz główny cel – Bazylika katedralna św. Franciszka Ksawerego, którą ufundował król Stefana Batory – robi wielkie wrażenie. Nie tylko na mnie. Przy tablicy fundatora w tym barokowym kościele uśmiecham się do siebie. Przy śniadaniu powiedziałem koledze, Robertowi Jagielle, że wygląda jak nasz Batory z obrazu Matejki.

Po wyjściu z kościoła podziwiamy przestrzeń i pewną egzotykę miejsca, w którym się znajdujemy. W oczy rzucają się uśmiechnięci ludzie. To też szok, bo z założenia mają ponoć gorzej, a tu widzimy ich życzliwych i uśmiechniętych. Zagadka. Inną kwestią, na którą wszyscy bez wyjątku zwróciliśmy uwagę, to czystość białoruskich miast. Czy Pińsk sprzed roku, czy muzeum w Białowieży, czy Grodno – wszędzie czysto. Porządeczek.

Od przystanku do przystanku

Po wyjeździe z miasta jedziemy w szyku, a wśród ryku silników wyłaniają się przed nami kolejne impresjonistyczne cuda. Nie dziwię się teraz opisom przyrody, jakie czytałem z młodzieńczym niezrozumieniem w „Panu Tadeuszu” czy w „Nad Niemnem”. My w Polsce najwyczajniej nie mamy już tak dzikiej przyrody. Na każdej trasie mijamy drzewa, których nie da się objąć. Rzepak kwitnący po horyzont. Patrzę w bok i widzę lazur nieba, a pod nim głębię soczystej, doj-

rzalej zieleni. Trzeba mrużyć oczy. Uśmiecham się i zapamiętuję te obrazy.

Podczas postoju w Starych Wasiliszkach zwiedzamy muzeum Czesława Wydrzyckiego, znanego wszystkim pod nazwiskiem Niemen. To tu urodził się i wychował. Kustosz muzeum ze szczegółami opowiada o młodości piosenkarza. Dom jest wypełniony pamiątkami po mistrzu oraz zrekonstruowanymi wnętrzami, w jakich mógł przebywać, będąc dzieckiem. Chodzę po tych małych pomieszczeniach i podziwiam ich prostotę.

Nad Niemnem u Bohatyrowiczów

Po kilku godzinach jazdy i tankowaniu motocykli dojeżdżamy do kolejnego przystanku w naszej podróży. Przed nami Niemen. Rzeka dzika i pierwotna. Nasz cel to odnalezienie symbolicznego grobu Jana i Cecylii Bohatyrowiczów. I oto jest – drewniany krzyż, ogrodzony drewnianym płotkiem. Kwiaty i prostota, a w oddali rysuje się Niemen. Magiczna chwila.

Sebastian, który podobną trasę przebył rok wcześniej i dzięki temu w najdrobniejszych szczegółach zaplanował naszą przygodę, rzuca hasło: niedaleko mieszka babcia i może nam pokazać mogiłę powstańców styczniowych. Oczywiście jesteśmy zainteresowani.

Po przejechaniu kilometra szutrową drogą zatrzymujemy się przy domu starszej pani. Wita nas uśmiechnięta. „Dzień dobry” – zakrzykuje, wsiadając na swoją damkę. Jedziemy za nią najwolniej jak się da, a motocyklami to nie lada wyczyn. Bogdan puszcza na swym goldwingu „Przybyli ułani pod okienko” – głośnik na pełną moc. W pierwszej chwili czuję jakiś dziwny wstyd, że tak głośno, i to jeszcze taką piosenkę... Jak bardzo się myślę. Starsza pani po przejechaniu jakichś dwóch kilometrów zatrzymuje się i obraca do nas. Cała zapłakana. Jak moje postrzeganie polskości i to, czym ta polskosc jest, się wtedy wyostrzyły.

Gdzie Polska

Kiedy już bliżej nie da się podjechać, wyru-



Uczestnicy wyprawy: Jacek Jagiela, Grzegorz Struk, Adam Jankowski, Mirosław Żuk, Barbara Burczuk, Bogdan Burczuk, Piotr Bochno, Marek Walasek, Piotr Majkrzak, Mariusz Kozioł, Robert Jagiello, Paweł Oleszczuk, Jakub Jańczuk i Sebastian Białek.

szamy pieszo na kopiec z Mirkiem i Sebastianem. Schodzimy 50 metrów w dół do Niemna, a potem pokonujemy kolejny odcinek lasu, pod górkę. Na końcu ścieżki ukazuje się naszym oczom kopiec z krzyżami katolickimi, wieńcami i gdzieś tam porzucanymi zniczami. Pani znad Niemna staje na kopcu i oznajmia: „Nazywam się Teresa Bohatyrowicz, mam 88 lat. Jestem ostatnią z mego rodu. Mój prapradziadek był przyjacielem Elizy Orzeszkowej i opowiedział jej całą historię Jana i Cecylii”. To był najbardziej wzruszający moment naszej podróży. Pani Teresa, ta perła puszczy nad Niemnem, jest żywym świadectwem tego, co polskie, i tego, gdzie Polska sięgała. Odjeżdżając, myślę o swoim postrzeganiu i definiowaniu patriotyzmu. Nie jechałem na Białoruś, by zagłębiać się w definicje. To samo przyszło. Głównie za sprawą Teresy Bohatyrowicz...

Z duchem wieszca nad Świtezią

Jeszcze tego samego dnia jesteśmy nad Świtezią, tym słynnym polodowcowym jeziorem, które Mickiewicz opisywał w swych utworach. Popołudniowe słońce odbija się w spokojnym lustrze wody. Delikatne fale skrzę się, oslepiając nas, twardzieli na motorach. Jestem pod wrażeniem tej pierwotnej przyrody. Zresztą nie tylko ja. Jesteśmy, bez wyjątku, oczarowani. Świadomość, że to jest właśnie to jezioro, potęguje w nas uczucie wyjątkowości chwili. Biorę od kolegi kartkę z utworem Mickiewicza. Lubię literaturę. Wskakuję na wielki głaz i przy audytorium braci motocyklistów odczytuję „Świtezę”. Oddając hołd ojczystej kulturze, dbam, by echo mowy polskiej niosło się nad falami jeziora.



Po jego drugiej stronie mamy kwaterę. Od jej właścicielki dowiadujemy się o wielkim kamieniu, co to spełnia życzenia. Postanawiamy poddać się przygodzie i wraz z porannym słońcem ruszamy w to miejsce „cudów”. Okazuje się, że nie tak łatwo tam dotrzeć. Leśne drogi nie sprzyjają jeździe motocyklami. Na miejsce idziemy więc pieszo, brnąc w błocie. W końcu jest jakaś wielka skała. Kamień jak kamień – myślę,



ale kiedy podchodzę bliżej i czytam tablicę informacyjną, uśmiechnąłem się do siebie. Bo ten kamień życzeń to sekretne miejsce spotkań filomatów i filaretów.

Prawdziwie patriotycznie

Stąd niedaleko do Zaosia, więc kierujemy się do zaścianka szlacheckiego, gdzie znajdował się dwór i folwark rodziny Mickiewiczów. Teraz jest tam niesamowite muzeum. Jego dyrektor i kustosz zarazem bite dwie godziny oprowadza nas i opowiada o życiu Adama Mickiewicza. Ma dar, bo czujemy oddech czasów wieszca. Dyrektor, by uatrakcyjnić swą opowieść, wyjmuje z szafy kontusz szlachecki. Przywdziewa go jeden z nas, Bogdan. Odzywa się w nim dusza przodków, co szable na co dzień prawo mieli nosić. Odzywa się tak intensywnie, że wybuchamy śmiechem i bijemy mu brawo. Celem naszej podróży jest ostatnia linia obrony II Rzeczypospolitej – linia baranowickich bunkrów. Sebastian wie, co, gdzie i jak, bo był tam rok temu. Przed tegoroczną wyprawą rzucił hasło, by zrobić tablicę pamiątkową na pomnik, który się tam znajduje, a jest nieopisany. Tablica z inskrypcją „Pamięci trzech pochodów Polaków i wybawienia Komendanta” zniknęła już dawno, ale sam obelisk trwa. Kiedyś był miejscem bardzo ważnym, a odsłaniał go sam Piłsudski. Emocje się nam udzielają, kiedy po zamontowaniu tablicy pamiątkowej i biało-czerwonej wstęgi słuchamy „Roty”. Rozbrzmiewa z głośników motoru Bogdana, kiedy stoimy wpatrzeni w orła i trzy krzyże za jego plecami.

Migawki i impresje

Trzy dni patriotyzmu. Długie i intensywne, bo pełne zwiedzania, ale też zadumy i refleksji. A na koniec impresja z Nowogródka, gdzie król Jagiełło brał ślub, a Mickiewicz się uczył... W małym kościele trafiamy na odprawianą akurat polską mszę. Patrząc: koledzy wrzucają pieniądze do skrzyni na datki. Ja nie podchodzę, bo przed sobą dostrzegłem dziewczynę z niemowlęciem w wózku. Wychyłam się i kładę 5 dolarów. Kiedy podnosi głowę, widzę tylko jej oczy. Oczy pełne zdziwienia, oczy przepelnione wdzięcznością. Dla tych oczu warto było wyjechać w trasę. ◀

Wyprzedaż garażowa – kojarzy się z kadrem z amerykańskiego filmu albo z niemieckimi bibeletami, których pozbywają się właściciele. Kiedyś element odległej kultury zachodniej, dziś oswajany w polskiej rzeczywistości przez modne seriale. Nic w niej skomplikowanego – wystarczy połowy stolik i trochę czasu. Każdy mógłby coś takiego zrobić. Przyjemniej jednak urządzić wyprzedaż w grupie, bo wtedy zwykle pozbywanie się ciuchów może zamienić się w klimatyczną imprezę. Jako taką oceniają wyprzedaż garażową Eliza Czyżak i Natalia Tymińska, które z koleżankami, Olą i Izą, zorganizowały ją w jedną z sierpniowych sobót na Trawniku.

Eliza uważa, że wyprzedaże garażowe są w Polsce jeszcze czymś w rodzaju egzotycznej atrakcji. Już zimą wpadła na ten pomysł, coraz częściej rozmawiała o tym z koleżankami i wreszcie postanowiły swój zamiar wcielić w życie. Sojusznika znalazły we właścicielu pubu Jazzanova. – Studiujemy w Białymstoku i tam chyba trudniej byłoby to zorganizować – mówi Natalia. – Zaczęłyśmy się zastanawiać nad miejscem. Myślałyśmy o placu Wolności, ale uznałyśmy, że choć na pewno więcej osób by na wyprzedaż trafiło, to jednak za dużo byłoby z tym zachodu, bo to w końcu teren w środku miasta. Iza zaproponowała Jazzanovę. Razem poszły do właściciela pubu, który zgodził się bardzo chętnie. – To jest bardzo fajne, że jest w Białej Mieście, w którym można zrealizować takie pomysły. Dostałyśmy nawet leżaki i miałyśmy nielimitowany czas, chociaż wieczorem miał się tam odbyć koncert. Atmosfera Trawnika jest taka, że każdy się tu dobrze czuje i szybko wytworzył się bardzo fajny klimat – przyznaje Eliza.

Znajdź swój styl w second handzie

Dziewczyny uwielbiają zakupy w second handach. Przyznają, że to już jest element stylu, ale też zabawa. – Kiedyś uważałam, że nigdy nie pójdę do szmateksu – opowiada Eliza. – Wcześniej to były małe obskurne miejsca ze specyficznym zapachem, do którego chodziły babcie. Teraz wszystko jest na wieszakach, uporządkowane, często ubrania mają metki. Żeby kupić coś fajnego jeździłam z mamą do Siedlec. Potem sieciówki pojawiły się w Białej, ale wtedy te ubrania przestały być już atrakcyjne, bo zaczęły się powtarzać na ulicy. Natalia podziela zdanie koleżanki, dzieląc się jeszcze jedną refleksją. – Prawda jest taka, że te ciuchy mają fajny design, ale słabą jakość. A ubrania z ciuchlandów są nie do zdarcia – podkreśla.

Dla Elizy i Natalii, a jak potwierdzają, także

Winyłe i szpilki na Trawniqu

Gabriela Kuc-Stefaniuk
ilustr. Paweł Cajgner



i ich koleżanek, ważne jest, by ubraniem wyrazić siebie, a dzięki perełkom z second handów staje się to dużo prostsze. – Zresztą – stwierdza Eliza – jak się wydaje na bluzkę 8 zł, to nie jest to takie obciążenie jak 59 zł czy 79 zł i można tych ubrań mieć dużo więcej. Natalia wyjmuje z torby świeżo upolowaną bluzeczkę w białe groszki. – To jest mój dzisiejszy łup – śmieje się, a Eliza podkreśla: – Natalka uchodzi za świetnie ubraną. Kiedy ją spotykamy, nie pytamy, już gdzie kupiła to, co ma na sobie, tylko wymieniamy się nazwą ciuchlandu.

Kiedy zauważyły, że ubrania, w których już nie chodzą, są nadal w dobrym stanie i jest ich coraz więcej, pomyślały o wyprzedaży garażowej.

Mydło i powidło

– Jesteśmy bardzo zadowolone z naszej wyprzedaży – mówi Natalia. – Ale wiemy już co zrobić, żeby następnym razem było jeszcze lepiej – dodaje Eliza. – Na pewno musimy naszą akcję bardziej nagłośnić, lepiej wykorzystać możliwości portali internetowych. Chciałybyśmy, żeby pojawiły się tam nie tylko ciuchy, ale i inne rzeczy. Ucieszyłyśmy się, że przyszedł na naszą wyprzedaż pan z winylami.

Pan z winylami to autor ilustracji do tekstu, Paweł Cajgner. Okazało się, że na wyprzedaż przyszły też mamy koleżanek Elizy i Natalii. Efektem wyprzedaży były wymiany i zakupy. – Widziałyśmy, że dużo osób przyszło popatrzyć, ale spotkałyśmy się tylko z pozytyw-

nymi komentarzami. Chciałybyśmy kolejną wyprzedaż zorganizować tak, by mogły na niej być osoby spoza Białej, na przykład uczniowie. Uważamy, że to dobra okazja do pozbycia się niepotrzebnych, ale fajnych ciuchów. Każda kobieta lubi przecież zakupy – mówi Natalia.

Lekarki szafiarki

Trzeba dodać, że życie organizatorek nie kręci się wokół ciuchów. To pilne studentki medycyny i farmacji. Między innymi tok studiów i zajęcia z nimi związane skłoniły je do zorganizowania wyprzedaży garażowej. Eliza wyjaśnia, że próbowała sprzedawać ubrania w internecie. – Udało mi się sprzedać siedem ciuchów, ale to było w wakacje, miałam czas na odpisywanie na maile. Ludzie chcą dodatkowych zdjęć, zadają mnóstwo pytań i trzeba być bardzo aktywnym, żeby być dobrym sprzedawcą internetowym. Ja nie mam na to czasu. Na wyprzedaży garażowej każdy może sobie wszystko obejrzeć sam, a w łazience w pubie można było przymierzyć ciuchy – mówi dziewczyna, podkreślając kolejne zalety wyprzedaży.

Studentki przyznają, że nie chodzi tylko o sprzedaż. Jest też drugie dno akcji. – Nasza koleżanka, Iza z Karmy [wegańskiej restauracji w Białej Podlaskiej – przyp. red.], która nam pomagała, chciała w ten sposób „przemycić” istotność recyklingu. Chodzi o to, żeby pokazać, że jedna rzecz może

służyć długo, wystarczy się nią wymienić. To skłania do zastanowienia się nad etyczną stroną przemysłu odzieżowego. Nawet w tej dziedzinie coraz więcej kobiet zwraca uwagę na to, czy firmy, których ubrania kupują, nie łamią praw pracowników, czy materiał jest pozyskiwany ekologicznie. To bardzo ważne – mówi z powagą Eliza.

Ciuchowa tolerancja

Często, zwłaszcza w małych miastach, osoba ubrana inaczej niż dyktuje to styl ulicy, jest traktowana jak dziwowisko. Okazuje się, że różnorodność stylistyczna, jaką odnajduje się w second handach, powoduje, że młode pokolenie fanek ciuchlandów w ogóle nie dziwi się, gdy obok przechodzi ktoś ubrany kompletnie inaczej. – Zwracamy uwagę na to, jak są ubrani inni – potwierdza Natalia. – Ale nie po to, by to wyśmiać, ale żeby się czegoś o nim dowiedzieć. Czytamy z ubrania innych. Często nas to też inspiruje. Organizatorki już myślą o następnej wyprzedaży. – Najważniejsze to realizować swój pomysł – podkreśla Eliza. – Często się słyszy, że w Białej się nic nie dzieje, a my tak nie uważamy. Fajne były koncerty w wakacje, Kino Letnie oceniamy 10/10. Jeśli każdy zacznie coś robić w tym kierunku, żeby się coś działo, na przykład tak jak my, to każdy też będzie mógł znaleźć coś dla siebie. Czy jesteśmy odważne? – zastanawia się Natalia. – Chyba tak. Byłyśmy pierwsze i jesteśmy z naszej wyprzedaży dumne. ◀

Z Tobiaszem Toczyńskim o tajnikach breakdance, które zgłębiał w formacji Twisted Feet, rozmawia Dominik Masalski.

fot. archiwum



Break jak niedokończona książka

Twisted Feet istnieje od 1998 roku. Trudno powiedzieć, kto był założycielem ekipy, ale wszyscy, którzy pamiętają tamte czasy, wymieniają takie nazwiska jak Bartosz Kaliszuk, Artur Dębski czy Piotr Ostrowski. To oni pod wpływem kultury hip-hop powstałej w Nowym Jorku zaczęli w Białej Podlaskiej wspólnie trenować breakdance. Dziś Twisted Feet to kilka osób, które pojawiają się regularnie na treningach oraz dziesiątki, które przewinięły się przez skład w trakcie jego funkcjonowania. Są wśród nich chłopcy w różnym wieku (b-boys) oraz dwie b-girls. Razem tworzą zgraną drużynę, którą łączy miłość do tańca. Tobiasz Toczyński pojawił się w Twisted Feet w 2001 r. i trenuje do dziś.

Opowiedz o początkach Twisted Feet. Kto was zainspirował?

– Każdy z nas czerpał inspirację z innego źródła. Niektórzy z teledysków, inni breaka widzieli na żywo, a jeszcze inni pewnie przez przypadek znaleźli się na sali i tak się w to wkręcili, że zostali na dłużej. 15 lat temu nie było jeszcze dostępu do materiałów szkoleniowych jak dziś. Wtedy mogliśmy podpatrywać breaka w telewizji, oglądając teledyski na kasetach VHS. To była analiza ruchu na stop klatce. Dobrze grzebiąc, można było w sieci znaleźć trochę filmików.

Gdzie ćwiczyliście?

– Zanim znaleźliśmy salę, treningi odbywały się w różnych miejscach, np. ktoś miał garaż. To już wystarczyło. Jak nie, rozkładaliśmy kartony czy gumoleum i można było tańczyć wszędzie. Gdzieś na osiedlowym parkingu, boisku czy chodniku.

To nie były superwarunki...

– Może i nie, ale nikt z tego powodu nie

rezygnował z treningu. W końcu ten taniec zrodził się na ulicy.

Breakdance to też bitwy na parkiecie. Często wyjeżdżaliście na zawody?

– Był okres, kiedy raz na dwa miesiące gdzieś jechaliśmy. Czasem na drugi koniec Polski.

Jaki był wasz największy sukces?

– Ciężko mi powiedzieć, który był największy, bo trochę ich było (śmiech).

Ale któryś musiał utkwic ci w pamięci.

– To prawda. Z jednego wyjazdu wróciliśmy do Białej ze wszystkimi głównymi nagrodami. Wygraliśmy wtedy walki 5 vs 5. Jeden z nas wygrał walki solo, a kolejny powermoves. Ale nie zawsze szło nam tak dobrze. Nieraz 6 godzin jazdy kończyło się przegraną walką już w pierwszej rundzie. Każdy wyjazd, każde zawody czegoś uczą i dają motywację. Kalendarz zawodów zazwyczaj jest dostępny dużo wcześniej, więc można wybrać jakąś imprezę i przygotować się do

niej. Nam zdarzały się też spontaniczne wyjazdy.

Jak oceniasz poziom Twisted Feet na tle innych ekip z Polski?

– Ciężko teraz ocenić mi nasz poziom, bo dawno nigdzie nie jeździliśmy, a poziom odzwierciedlają przecież wyniki. Na pewno obecnie na sali jest kilka osób ze starego składu i jest młodzież ze sporym doświadczeniem, czyli można powiedzieć, że mamy ekipę i będziemy starać się pojechać w tym roku na jakąś dobrą imprezę. Chcemy przypomnieć, że jeszcze żyjemy i trzymamy skilla.

A jaka jest kondycja polskiego bboingu. Mamy ekipy dorównujące poziomem do tych ze świata?

– Mamy w Polsce sporo dobrych tancerzy, którzy nieraz udowadniają, że są w światowej czołówce.

Jak opisałbyś breakdance osobie, która nie miała z nim nigdy do czynienia?

– Break to twardy orzech do zgryzienia. Jest jak książka, która ma wstęp i rozwinięcie, ale nie ma zakończenia. Ja tańczę już 15 lat i dalej się rozwijam. Jak zresztą każdy z nas. Ograniczeniem w tym tańcu jest umysł, bo jeśli on ci nie podrzuca pomysłów, to stoisz w miejscu. A chodzi o to, żeby cały czas robić postępy.

Czy w składzie Twisted Feet jest rotacja i czy jest ktoś, kto trenuje z wami od początku?

– Tu trzeba wytrwałości i setek godzin treningu. Człowiek z natury jest leniwy, dlatego powiedzmy na 10 nowych osób na sali po 2-3 latach zostaje jedna.

A kontuzje? Często się zdarzają?

– Wbrew pozorom break nie jest specjalnie kontuzjogennym tańcem. Urazy zdarzają się tutaj tak samo często jak w przypadku innej aktywności fizycznej.

Jakie jest Twoje najpiękniejsze wspomnienie związane z tańcem?

– Jest ich wiele. Na pewno można by było ciekawą książkę o tym napisać.

Czy breakdance ewoluuje?

– Pewnie. Dochodzą kolejni tancerze i dodają coś od siebie. 15 lat temu nie wyobrażałem sobie, że człowiek jest w stanie zro-

bić pewne ewolucje, figury. Dziś robi to co druga osoba, staje się to podstawą. Dlatego każdy, kto tańczy breaka, wrzuca jakiś pierwiastek do tego, co już jest. Dzięki temu tworzy się nowa jakość. Na dzień dzisiejszy nie ma granicy, której ludzie nie są w stanie przekroczyć. Ograniczeniem jest umysł, bo w danej chwili może jeszcze nie wpadł na dany pomysł, ale prędzej czy później to zrobi. Kolesie, którzy to wymyślali, dziś mówią, że nie spodziewali się, że stworzą taką machinę. Każda nacja coś dodaje do tego tańca. Każdy człowiek wychowuje się w innej kulturze, w innym miejscu, i każdy coś do breaka wrzuca od siebie. To daje niesamowity efekt.

Czym różni się bboy sprzed 15 lat od dzisiejszego bboya?

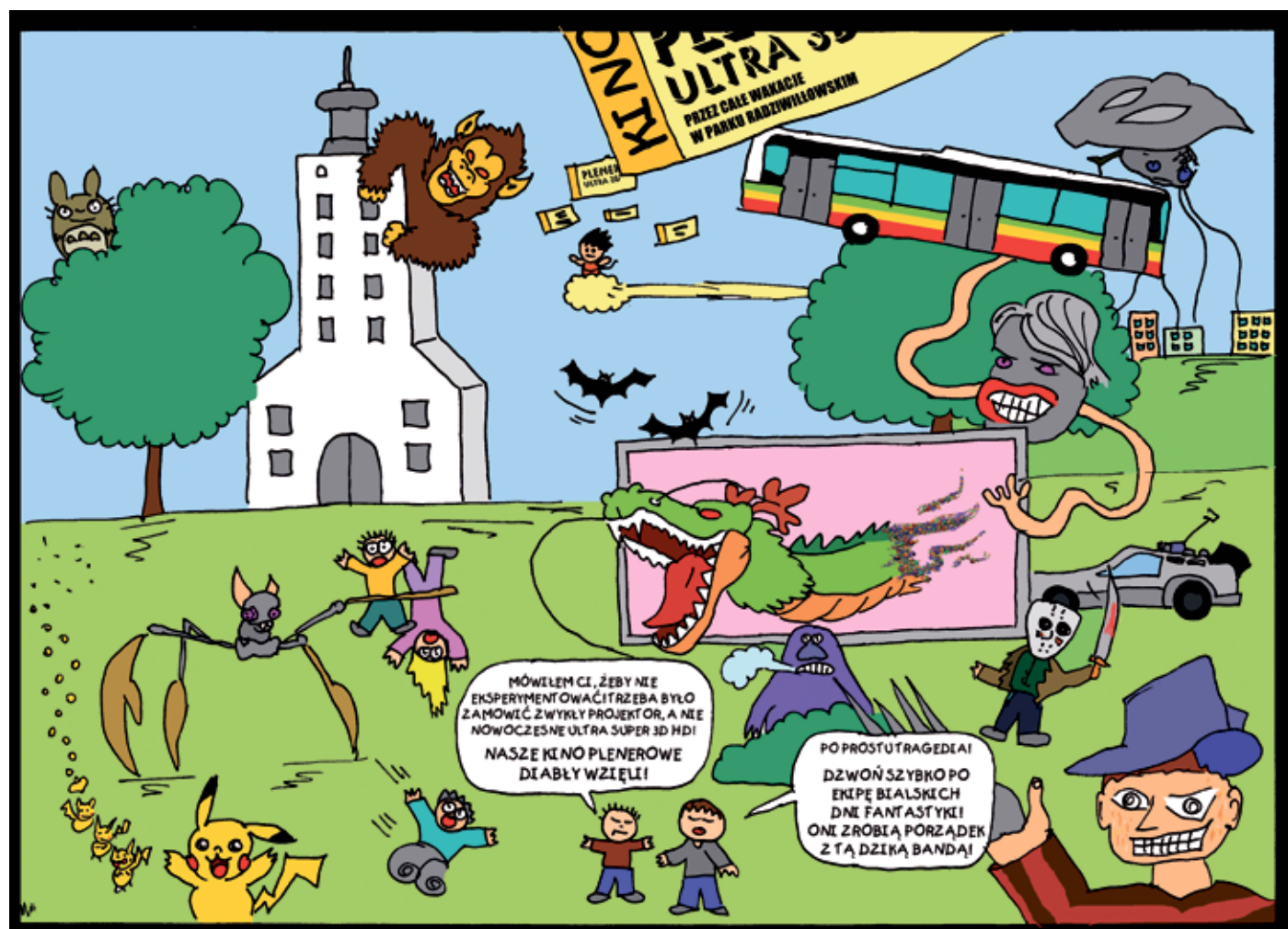
– Dla mnie to niczym ta sama skóra i kości, ale większy багаż doświadczenia. Chociaż obecnie bboys, którzy wchodzą w ten taniec, mają świeże umysły. To, co kiedyś było wyzwaniem, dziś jest zaledwie podstawą... Poza tym dziś tancerze wyglądają lepiej, bardziej schludnie. Liczy się nie tylko skill, ale i ogólna prezencja.

Czy można do Was dołączyć?

– Oczywiście. Treningi mamy w klubie kultury Piast. Już od 16 lat można nas tam znaleźć. Zapraszamy. ◀



rys. Łukasz Artyszuk





Wchodzi na salę w dresach (trochę rozciągniętych), w sportowych butach, torbą na ramieniu i stygmatem „panienki z nocnego klubu”. – Zaczynamy? – pyta uśmiechnięta. Nie czekając na odpowiedź, wyjmuję rurkę, rozkręca ją i montuje w sali treningowej. – My, poledancerki, nie lubimy podwieszanych ani kartonowo-gipsowych sufitów. Uniemożliwiają zamontowanie rurki rozporowej – rzuca przez ramię, dokręcając ostatni element. – Małe dziewczynki wiszą na trzepakach. Duże potrzebują większej rurki – żartuje, zaczynając rozgrzewkę.

Manifestacja siły

Beata Tomczyk na brak zajęć nie narzeka. Od czterech mieszka w Białej Podlaskiej. Przeprowadziła się z Warszawy, żeby studiować tu wychowanie fizyczne, ale – jak mówi – chciała zacząć żyć na własną rękę i się usamodzielić. – Potrzebowałam też ciszy i spokoju – mówi. Teraz jest na piątym roku wychowania fizycznego oraz na trzecim fizjoterapii. Jest też instruktorką fitness i prowadzi zajęcia w jednym z białskich klubów. Na AWF-ie trenuje z piłkarzami ręcznymi fitness ze sztangami, a ostatnio prowadzi również zajęcia z jogi. – Lubię ruch i aktywność – przyznaje dziewczyna. Lubi też wyzwania, a takim jest niewątpliwie pole dance, czyli taniec na rurce. Beata zetknęła się z nim, kiedy była jeszcze w liceum. – Przeczytałam w gazecie, że to fajna forma aktywności fizycznej, która angażuje całe ciało i nie ma nic wspólnego z wulgarnym tańcem erotycznym – wspomina. Okazało się, że pole dance to wymagająca dyscyplina sportowa, do uprawiania której potrzebna jest siła i wytrzymałość. – To nic innego jak gimnastyka, która pozwala się wyzwolić od ograniczeń własnego ciała – zapewnia Beata.

Nazywanie pole dance tańcem na rurce jest mylące. Co prawda można trenować przy muzyce, ale nie o taniec tu chodzi. Pole dance to dyscyplina akrobatyczna wymagająca ogromnej siły, elastyczności i woli walki. Dla wielu trenujących kobiet to też manifestacja siły. – Zdarza się, że na treningi dziewczyn przychodzą faceci, którzy twierdzą, że utrzymanie się na rurce to nic wielkiego. Zmieniają zdanie, kiedy sami tego próbują – mówi z uśmiechem trenerka.

Mama nie byłaby zadowolona...

Beata jeszcze w klasie maturalnej znalazła szkołę pole dance i zapisała się na pierwsze zajęcia. – Bolały – śmieje się. – Rodzicom powiedziałam, że idę na gimnastykę artystyczną. Nie zdziwili się, bo od dziecka trenowałam różne dyscypliny. Nie przyznałam się do rurki, bo najzwyczajniej miałam obawy. Musiałabym powiedzieć: mamo, tato, będę się uczyła tańca na ru-

Ruch to zdrowie. Każdy. I nie ma co z tym stwierdzeniem dyskutować. Jednak nie każda forma aktywności jest dobrze odbierana przez otoczenie. No bo jak to brzmi: trenuję taniec na rurce? A może warto pozbyć się uprzedzeń i docenić ten wielki wysiłek wkładany w opanowanie umiejętności akrobacyjnych wykonywanych na pionowym drążku? – Niejeden facet wymięka, próbując dorównać nam, dziewczynom, trenującym pole dance – mówi Beata, trenerka i pasjonatka tańca na rurce, tańca, który budzi wiele kontrowersji.

Wbrew grawitacji... i mamie

rze. No, jak to brzmi, szczególnie w ustach osiemnastolatki? – mówi Beata. Podkreśla też, że stereotyp związany z tańcem na rurze, który ciągle jeszcze funkcjonuje, jest pewnym obciążeniem dla dziewczyn trenujących pole dance. – Ale powoli się to zmienia. I dobrze, bo to fajny sport – zapewnia trenerka.

Beacie długo nie udało się utrzymać w tańcach przed rodzicami, co tak naprawdę trenuje. Po pierwsze dlatego, że wychodziła z domu bardzo wcześnie, żeby sprzątać w szkole tańca. – Nie było mnie stać na opłacenie zajęć pole dance, więc dogadałam się, że będę sprzątała sale, a za to będę mogła trenować na rurce – wspomina. Rodzice nabrali też podejrzeń w związku z siniakami na ciele dziewczyny. – Przyznałam się, co trenuję, po jakichś dwóch miesiącach. Nie dało się ukryć siniaków – przyznaje Beata i dodaje: – Rurka jest bardzo fajna, ale to sport, który boli. Szczególnie na początku, kiedy człowiek uczy się techniki i wytrzymałości.

Rurka dla twardzielek

Trenerka pole dance zapewnia jednak, że w końcu ból zastępuje satysfakcja. – Zapomina się o nim, kiedy uda się zrobić jakąś figurę. Dziewczyny cieszą się wtedy jak małe dzieci – zapewnia Beata. Nie ukrywa przy tym, że trening przynosi rezultaty jedynie wtedy, kiedy ćwiczy się systematycznie i z determinacją.

To poskutkowało w przypadku pierwszych uczennic Beaty. – Pierwszą była moja przyjaciółka, z którą dzieliłam pokój w akademiku. Montowałyśmy sobie rurkę i trenowałyśmy. Potem dołączyły do nas kolejne dziewczyny i organizowałyśmy sobie kobiece wieczory. Przychodziło na nie coraz więcej dziewczyn, które chciały nauczyć się pole dance – wspomina dziewczyna. Teraz udziela lekcji prywatnych, w domach klientek. – Chcąc nie chcąc, jakoś się wszystko rozniosło po mieście i znalazły się pierwsze komercyjne klientki. Poczta pantoflowa działa w Białej Podlaskiej – śmieje się Beata. Wśród jej uczennic są nie tylko studentki. Ma klientki w różnym wieku i o różnych profesjach. – Wśród nich są instruktorki fitness, dentystka, pielęgniarka i księgowa – wylicza trenerka. – Fajnie, prawda?

Jednej z uczennic Beaty tak się spodobał pole dance, że przystosowała jedno z pomieszczeń w domu do treningów. Oprócz rurki ma na ścianie duże lustro. – Dobrze jest je mieć, żeby podczas ćwiczeń widzieć swoje ciało i jego ułożenie podczas konkretnej figury. To pomaga – wyjaśnia instruktorka.

Trening w pionie

Trenowanie tańca na rurce nie wiąże się z dużymi kosztami. Pomijając opłacenie trenera, właściwie potrzeba niewiele. – Wystarczą krótkie spodenki, najlepiej przylegające do ciała, sportowy stanik. I tyle – mówi instruktorka, wyjaśniając, że istotne jest też, aby nie balsamować ciała przed treningiem. – Chodzi o jak najlepszą przyczepność do stalowej rurki. Stąd właśnie potrzeba odsłonięcia różnych partii ciała. Po prostu inaczej się nie da. Buty są zbędne, bo na rurce wykorzystuje się też stopy – tłumaczy Beata. Można sprawić sobie specjalne rękawiczki, pudry czy kleje, ale jej zdaniem to zbędne.

Lekcja pole dance zaczyna się jak każdy inny trening rozgrzewką. – Wszystkie większe grupy mięśniowe muszą być odpowiednio przygotowane, żeby zapobiec naderwaniu czy naciągnięciu. W tańcu na rurce bardzo dużo pracują kończyny górne, ale rozgrzewamy całe ciało. Zwracamy szczególną uwagę na nadgarstki, stawy łokciowe i staw barkowy – tłumaczy profesjonalnie instruktorka. – Wiem, wiem. Odzywa się we mnie fizjoterapeuta – śmieje się, a już poważnie dodaje: – Ma być bezpiecznie. Duży nacisk kładę na zachowanie równowagi, jeśli chodzi o wykonywanie ćwiczeń czy ewolucji na obie strony ciała. To ogranicza kontuzje – zauważa Beata.

Motywacja

Akrobacje na rurce niewątpliwie przynoszą satysfakcję. Szczególnie wtedy, kiedy jest się w stanie utrzymać ciężar własnego ciała. A to wcale nie takie proste. – Potrzeba siły, ale również techniki – podkreśla Beata. Wyjaśnia też, że pole dance jest doskonałą alternatywą dla tradycyjnych zajęć fitness. Cenią go kobiety, które nie przepadają za siłownią. Treningi na rurce pomagają zrzucić kilogramy, ale przede wszystkim rzeźbią ciało, no i dają wiele radości. – To świetna zabawa – zapewnia trenerka. Zapytana o motywację nie tyle swoją, co klientek, które pobierają u niej lekcje, odpowiada, że są naprawdę różne. – Zdarza się, że jest kobieta, która chciałaby kiedyś zrobić swojemu facetowi niespodziankę i zatańczyć przed nim na rurce. Ale takie powody zazwyczaj szybko przekształcają się w coś zupełnie innego. Bo, jak się już pozna, czym jest pole dance, trenuje się dla siebie. Żeby przełamać swoją niemoc, podjąć wyzwanie i nabrać świadomości własnego ciała – wyjaśnia Beata. Szokujące, nieprawdaz? ◀





Piewczyni Podl

Któż z nas nie zna legendy o smoku wawelskim, bazyliżku czy Warsie i Sawie? A ilu białczan słyszało legendy związane z naszą małą ojczyzną? Okazuje się, że jest ich wiele, są naprawdę piękne i... tajemnicze. Od zapomnienia te podania ocalała pisarka wychowana na Podlasiu – Maria Kasterska-Sergescu. Paradoksalnie „Legendsy i podania Podlasia” Kasterska napisała po francusku. Równie dużym zaskoczeniem jest to, że zostały przetłumaczone na wiele języków, w tym na japoński.

Edyta Tyszkiewicz
fot. archiwum

Dawno, dawno temu... – tak zaczyna się większość baśni na świecie. Kiedy chcemy opowiedzieć legendę podlaską, zaczynamy trochę inaczej: „Kiedyś, bardzo dawno temu, jeszcze za panowania Jadźwingów...”. Taki początek mają „Legendsy i podania Podlasia” pióra Marii Kasterskiej. To dzięki niej możemy poznać historie, których nie znajdziemy nigdzie indziej: smutną opowieść o Kalinie, córce chana Jadźwingów, o gościnnym domu zbudowanym nad brzegiem Bugu, o człowieku, któremu bóg Perun powierzył torbę z wszystkimi występkami i nieszczęściami świata i zabronił otwierać. Człowiek nie usłuchał, więc Perun za karę zamienił go w bociana, który od tamtej pory nie ma już ojczyzny i po wieki żyje w rozterce.

Podlaskie „prządki”

Maria Kasterska urodziła się 2 lutego 1894 roku w Warszawie, w rodzinie zubożałych ziemian podlaskich i to właśnie na Podlasiu spędziła dzieciństwo i wczesną młodość. Jej ojciec Maksymilian był administratorem w majątku Ludwika Bryndzy-Nackiego w Woroblinie, więc mała Marysia wychowywała się wśród pięknej przyrody, otoczona miejscowymi nianiami. To one pierwsze pokazały jej świat podlaskich legend, wyśpiewując i opowiadając historie, które same słyszały od swych matek i babek. Maria uczestniczyła w życiu podlaskiej wsi, a najbardziej upodobała sobie tak zwane „prządki”, czyli długie zimowe wieczory, kiedy to kobiety zbierały się, by wspólnie prząść. Podczas tych wieczorów śpiewano, snuto opowieści o dawnym życiu na wsi, opowiadano przekazywane z pokolenia na pokolenie piękne baśnie. Już wtedy przyszła pisarkę urzekły te opowieści, po latach wspominała: „dopiero później zrozumiałam ich całą melancholię i ich powagę”. Zanim jednak Maria stała się pisarką, jej życie spokojnie płynęło na podlaskiej wsi.

Lata szkolne Kasterska spędziła w Białej Podlaskiej, uczęszczając do tutejszego gimnazjum, gdzie w 1914 r. zdała maturę. Trzeba pamiętać, że były to czasy zaborów, więc w Białej, leżącej w zaborze rosyjskim, naukanie odbywało się w języku rosyjskim. Maria, chcąc uciec od nauki w obcym jej systemie, poprosiła ojca, by wysłał ją na studia za granicę. Wybór ojca padł na Francję, gdzie Kasterscy mieli daleką rodzinę. Maria wyjechała do Francji w 1914 r., tuż przed wybuchem I wojny światowej.



Poliglotka z Podlasia

Po opanowaniu języka francuskiego Kasterska rozpoczęła studia na słynnej Sorbonie, a wybrała filologię francuską. W 1917 r. uzyskała tytuł doktora literatury francuskiej. Dla naszej krajanki był to bez wątpienia ogromny sukces, gdyż była jedyną Polką, która ten tytuł otrzymała.

W kręgu zainteresowań pisarki znajdowały się poezja łacińsko-polska oraz związki Pol-

ski z Francją i Rumunią. Kasterska zajmowała się pracą badawczą, dziennikarstwem, tłumaczeniami i oczywiście pisała. Zaraz po uzyskaniu doktoratu spełniła w końcu jedno ze swoich wielkich marzeń – podjęła próbę ocalenia od zapomnienia opowieści z krainy swojego dzieciństwa. „Legendsy i podania Podlasia” napisane w języku francuskim ukazały się w Paryżu w 1928 r. i zostały bardzo dobrze przyjęte przez paryskich czytelników. Kilka lat wcześniej ukazał się jej pierwszy tomik wierszy pt. „Poezja”. Nie był jedynym zbiorem wierszy – wydała, również w języku polskim, tomik zatytułowany „Na zamku milczenia”. Ponadto Kasterska jest autorką powieści „Miłość prababki”, „Opowiadanie głupiego Jasia”, a także napisanej po francusku popularnej biografii o królowej Jadwidze i wielu artykułów w prasie francuskiej, m.in. „Le Figaro”, „La Croix” czy „La Réve”. Pisała również do prasy polonijnej we Francji.

Podlasianka poza językiem ojczystym i francuskim znała też świetnie rumuński, czeski, rosyjski i łacinę. Pozwoliło jej to publikować również w prasie rumuńskiej i czeskiej. Była tłumaczką z języka czeskiego na polski i francuski, opracowała „Rozmówki polsko-francuskie”.

W okresie międzywojennym często odwiedzała Polskę i krainę swojego dzieciństwa. Organizowała wtedy spotkania literackie z miejscową młodzieżą. W tym okresie publikowała również artykuły i swoje wiersze w polskiej prasie, m.in. w „Kurierze Warszawskim”, „Świecie” i „Tygodniku Ilustrowanym”.

Obywatelka świata

O życiu prywatnym pisarki tak naprawdę wiemy niewiele. Z całą pewnością można stwierdzić tylko to, że była tolerancyjną i otwartą Polką żyjącą w wielokulturowym świecie. Wychowana na podlaskiej wsi bez problemu odnalazła się we francuskim kręgu naukowo-kulturowym. Kiedy wyszła za

asia



mąż za Piotra Sergescu, rektora Politechniki w Bukareszcie, jej krąg kulturowy poszerzył się. Cały okres II wojny światowej spędziła z mężem w Rumunii. To zetknięcie z literaturą i sztuką rumuńską zaowocowało między innymi wydaniem „Szkieł polsko-rumuńskich”.

Po wojnie Kastarska-Sergescu znów zamieszkała w Paryżu, gdzie kontynuowała swoją pracę naukowo-literacką. W komunistycznej Polsce nie mogła już publikować, dlatego podjęła współpracę z pismami emigracyjnymi, takimi jak „Wiadomości Literackie” oraz wydawanymi w Londynie „Dziennikiem Żołnierza” i „Dziennikiem Polski”.

W 1967 r. dostała bardzo ważne odznaczenie – za całokształt twórczości literackiej Kastarska, jako jedyna cudzoziemka, została uhonorowana nagrodą Francuskiej Akademii Literatury. Z kolei rodacy nie cenili tak wysoko jej pisarskiego talentu. Głównym powodem była apolityczność Kastarskiej. Pisarka nie chciała należeć ani popierać żadnego emigracyjnego ugrupowania politycznego, dlatego fakt jej śmierci francuska Polonia raczyła ledwo zauważyć.

W oczekiwaniu na wznowienie

Maria Kastarska-Sergescu zmarła w Paryżu w 1969 r. i została pochowana na cmentarzu polskim w Montmorency. Spadkobiercą jej twórczości został pewien Rumun, z którym Kastarska związała się po śmierci męża. Jej przyjaciel założył w Paryżu Bibliotekę Rumuńską im. Pierre et Marie Sergescu, która znajduje się przy ulicy Lhomond 39, ale dostęp do niej jest praktycznie niemożliwy. Natomiast w Bibliotece Polskiej w Paryżu znajduje się zaledwie kilka opracowań i powieści historycznych pisarki. Wielka szkoda, bo od jej śmierci żadna z jej powieści nie została wznowiona ani opublikowana. W naszym kraju ta płodna pisarka, która do końca życia popularyzowała swe rodzinne Podlasie, jest praktycznie nieznana, a piękne „Legends i podania Podlasia” nie doczekały się jeszcze przekładu z prawdziwego zdarzenia. <

Przy opracowaniu sylwetki Marii Kastarskiej-Sergescu korzystałam z artykułów Janiny Teodoroko-Lefevre: „Maria Kastarska-Sergescu (1894-1969) w słowiańsko-romańskim kręgu literackim i kulturowym” [„Podlaski Kwartalnik Kulturalny” 4/2000] oraz książki Szczepana Kalinowskiego „Koło Białczan. Historia Stowarzyszenia w latach 1922-2012”.

metrohouse

sprawdzone nieruchomości

*Jak sprzedać korzystnie mieszkanie ...
... i nie zwariować ?*

*Jak kupić dom lub mieszkanie ...
... i spać spokojnie ?*

**sprzedaż * kupno * wynajem
mieszkania * domy * lokale * działki**

ZAPRASZAMY !!!

21-500 Biała Podlaska

ul. Ks. Witolda 19/19 (II piętro, obok Lidla)

tel. 83 342 46 47

tel. kom.: 883 332 672 ; 883 332 673 ; 784 973 359



SZKOŁA TAŃCA ZAMEK

zaprasza na zajęcia z Mistrzem Polski

NOWE NABORY DO GRUP



607 400 771

ul. Janowska 59

www.zamekbp.pl

Renata Szwed
 fot. Grzegorz Doroszuk



Przełamać stereotypy i bariery – to główne założenie pikniku integracyjnego Żyjmy Razem, którego pierwsza edycja miała miejsce pod koniec sierpnia na bialskim lotnisku. Ciężar organizacji spadł w głównej mierze na Stowarzyszenie Pomocy Osobom Niepełnosprawnym Prosta, ale firm i instytucji, które wspierały całe przedsięwzięcie, było więcej. Co ważne, dochód z licytacji prac plastycznych i sprzedaży cegiełek trafił do organizacji zapewniającej terapię osobom niepełnosprawnym.

Razem dla niepełnosprawnych

Idea przyświecająca przedsięwzięciu jest szczytna – zbiórka funduszy na cele statutowe jednej z organizacji pożytku publicznego działającej w Białej Podlaskiej lub powiecie bialskim.

Cegiełki i aukcja

– Imprezy jak ta na lotnisku nie tylko uwrażliwiają społeczeństwo na niepełnosprawność. Służą nie tylko integracji. To również możliwość zaprezentowania aktywności artystycznej i społecznej osób niepełnosprawnych. To dla nich ważne, by nie być wykluczonymi społecznie, by nie żyć na marginesie społeczeństwa. Dodatkowym atutem przemawiającym za organizacją tego typu imprez jest zbiórka pieniędzy na organizację pożytku publicznego, które, nie ma co ukrywać, borykają się z brakiem funduszy na swoje działania

statutowe. Budujące, że miejskie instytucje, w tym Białskie Centrum Kultury, wsparły organizację pikniku – mówi Ewa Kurkowska, prezes Stowarzyszenia Pomocy Osobom Niepełnosprawnym Prosta. W tym roku to właśnie na tę organizację prowadzona była zbiórka funduszy. Podczas trwania imprezy sprzedawane były m.in. cegiełki, z których dochód, podobnie jak ze sprzedanych podczas licytacji prac plastycznych, przeznaczono zostanie na rzecz stowarzyszenia Prosta. Bilans zamknął się kwotą kilkunastu tysięcy złotych. – Poszliśmy na pierwszy ogień, ale mam nadzieję, że w przyszłym roku zorganizowana zostanie druga edycja pikniku i skorzysta z tego kolejne stowarzyszenie – liczy Kurkowska. Przyznaje równocześnie, że równie ważną kwestią, co aspekt finansowy, jest integracja środowiska osób niepełnosprawnych.

Talent show

Ci mogli zaprezentować swoje talenty. Na scenie z prawdziwego zdarzenia mieli okazję wystąpić zapowiadani przez Monikę Kuszyńską, piosenkarkę reprezentującą Polskę podczas tegorocznego Konkursu Piosenki Eurowizji. Wokalistka nie tylko poprowadziła koncert, ale dodawała otuchy młodym wokalistom. – Jej obecność wiele wniosła w nasz piknik. Pani Monika swoją działalnością muzyczną, uśmiechem i witalnością udowadnia, że niepełnosprawność nie wyklucza ze społeczeństwa. Że chcesz, znaczy móc – podkreśla Ewa Kurkowska. Podopieczni placówek terapeutycznych z całego powiatu bialskiego podczas pikniku w różnych miejscach prezentowali owoce swojej aktywności – były wystawy prac plastycznych, występy taneczne i wokalne. Było też mnóstwo atrakcji. W głównym

Motolotnisko

Atrakcji sierpniowego zlotu fanów motoryzacji zorganizowanego przez Automobilklub Białskopodlaski było co niemiara. Po raz pierwszy w swojej historii klub zdołał w jednym dniu zaoferować zwiedzającym aż czternaście punktów programowych. – Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek uda nam się coś takiego powtórzyć – mówi z entuzjazmem Bogumił Lubański, prezes automobilklubu.

Wszystko dzięki aktywnie działającym sekcjom. Na pasie technicznym spotkali się członkowie oraz miłośnicy samochodów marki Audi. Tuż obok przeprowadzono konkurs Car Audio, do którego zgłosiło się kilkunastu zawodników. Były auta małe i duże, tanie i drogie. Największym zainteresowa-



Arkadiusz Michlewicz
 fot. Grzegorz Doroszuk

niem cieszył się Dodge Ram nafaszerowany nagłośnieniem obliczonym na kilka tysięcy wata. Nie dziwi więc, że przy maksymalnym rozkręceniu potencjometra wokół auta mogła zatrząść się ziemia. Jednakże najbardziej widowiskowe, wzbudzające emocje i dozu-

jące adrenalinę były wyścigi motocyklowe supermoto, stunt i drift. Tutaj widownia była non stop pełna. Palone i strzelające gumy, wydobywające się spod kół obłoki dymu tworzące „mgłę” robiły wrażenie na publiczności. W ubraniach nieprześiąknię-

hangarze odwiedzający mogli przyjrzeć się z bliska legendarnemu zabytkowemu samolotowi bojowemu LIM-2 oraz szkoleniowej Iskrze. Nie zabrakło też członków aeroklubu BB Aero chcących szkolić w Białej Podlaskiej pilotów szybowców. Na ich stoisku pokazano ultralekki samolot.

Piknik był okazją do wspólnej zabawy. Szczególnie najmłodszy mieli do wyboru wiele atrakcji, w tym m.in. przejażdżki bryczkami, wesołe miasteczko, dmuchane zjeżdżalnie, a także zabawy i konkursy przygotowane przez miejskie instytucje kultury.

Akcja informacja

Jednym z ważnych celów było zaprezentowanie, jak się okazało, bardzo różnorodnych i kompleksowych ofert terapeutyczno-edukacyjnych placówek i organizacji świadczących pomoc osobom z różnymi formami niepełnosprawności. Liczne stoiska informacyjne zgromadzono w Miasteczku bez Barier. – Taka formuła pozwoliła białskim organizacjom działającym na rzecz niepełnosprawnych zaprezentować swoje oferty terapeutyczne. To ważne, by mieszkańcy Białej Podlaskiej i okolic wiedzieli, gdzie w razie potrzeby mogą się zgłosić – mówi Anna Chwałek, prezes Stowarzyszenia Pomocy Młodzieży i Dzieciom Autystycznym Wspólny Świat w Białej Podlaskiej, które również wzięło udział w pikniku. – Bardzo ucieszyła mnie możliwość wzięcia udziału w pikniku, a jeszcze bardziej to, że właściwie wszystkie stowarzyszenia w mieście miały taką możliwość. W końcu hasło przyświecające imprezie „Żyjmy razem” nie jest przypadkowe – dodaje.

Piknik, nad którym honorowy patronat sprawował prezydent Białej Podlaskiej, ma szansę wpisać się na stałe w kalendarz miejskich wydarzeń. – Bardzo na to liczymy, bowiem imprezy tego typu nie tylko integrują, ale przede wszystkim pomagają przełamać bariery, z jakimi na co dzień borykają się osoby niepełnosprawne – podkreśla prezes stowarzyszenia Prosta. ◀

tych swądem palonych opon wrócili do domów chyba tylko ci, którzy stali daleko od epicentrum motoryzacyjnego szalu.

Ale to nie koniec atrakcji. W bliskim sąsiedztwie rozegrały się także zawody rally sprint. Na tych, którzy chcieli poczuć emocje na własnej skórze, czekał tor kartingowy. Za drobną opłatą można było przez kilkanaście minut poćwiczyć gokartem szybkie wejścia i wyjścia z zakrętów. – Po takiej przejażdżce niepotrzebna jest wizyta na siłowni, bo tutaj pracują w zasadzie wszystkie mięśnie – podkreśla Maciej Matusiewicz, członek Automobilklubu Białkopodlaskiego.

Motoryzacyjną imprezę uświetnił pokaz zabytkowych samochodów, tuningu oraz off road.

Jedno jest pewne – ta impreza pokazała nowe lepsze oblicze Automobilklubu Białkopodlaskiego, który pod nowym zarządem stał się bardzo aktywnie działającą organizacją. A teren lotniska zdał egzamin jako tor samochodowy. ◀

Z Januszem Maleńczukiem, białskim muzykiem i piosenkarzem, rozmawia Edyta Tyszkiewicz.

fot. Grzegorz Doroszuk

Wykorzystałem, co los mi przyniósł

W każdy wakacyjny piątek mieliśmy przyjemność słuchać na placu Wolności muzyki na żywo. Zdaje się, że byłeś jednym z pomysłodawców tego projektu?

– Już dawno chodził mi taki pomysł po głowie, ale właściwie inicjatywa wyszła od prezydenta miasta. Podczas jednego ze spotkań padła idea, żeby zrobić serię koncertów, w których będą uczestniczyć muzycy z Białej. Zająłem się więc tworzeniem listy uczestników i kalendarza całej imprezy.

Trudno było?

– Nie, w Białej mamy naprawdę uzdolnionych muzyków, którzy często są bardziej znani w Polsce niż w rodzinnym mieście. Grają bardzo różną muzykę – jazz, pop, hip hop, ale dzięki temu, mam nadzieję, każdy znalazł coś dla siebie.

Oczywiście sam też wystąpiłeś na scenie.

– Tak i to trzy razy. Dwa koncerty zagrałem z moim zespołem Silk i jeden koncert akustyczny z bratem Andrzejem Maleńczukiem, z którym często koncertuję w naszym regionie.

Z tego co wiem, jesteś bardzo zapracowanym wokalistą. W ilu projektach bierzesz udział?

– Na stałe związany jestem z czterema projektami. Wspomniany już akustyczny projekt z moim bratem i Silk, z którym gramy na różnego rodzaju imprezach, koncertach, bankietach, a nawet weselach. Poza tym Polish Rock Swings, gdzie razem z kilkunastoosobową orkiestrą Daniela Nosewicza wykonujemy polskie utwory rockowe, no i zespół For Teens.

To na pewno wszystko?

– Nie (śmiech). Razem z kolegą zrobiliśmy ostatnio taki eksperymentalny skład, którym parodiujemy disco polo (śmiech), a tak serio, to bierzemy na warsztat piosenki, które są po prostu źle wykonywane i pokazujemy, jak poprawnie powinny brzmieć. Poza tym

z Silk'em jeździmy po całej Polsce z programem The Best of Queen.

Wzięliście na swoje barki bardzo trudny repertuar.

– Długo się do tego przygotowywaliśmy. Gramy utwory w oryginalnych tonacjach, więc drobiazgowo dobieraliśmy utwory, sprawdzaliśmy czy damy radę, czy udźwigniemy daną piosenkę i chyba się udało, bo jako jedyny zespół w Polsce mamy rekomendację Oficjalnego Międzynarodowego Fun Clubu Queen'u w Wielkiej Brytanii.

Czy publiczność też docenia wasz warsztat?

– Zdecydowanie, ale nie tylko publiczność. Niedawno graliśmy koncert z okazji Dni Lipska, gdzie gwiazdą była grupa Video, z którą znamy się od dawna. Występowaliśmy przed nimi właśnie z programem The Best of Queen i kiedy schodziłem ze sceny, podszedł do mnie Wojtek (Łuszczkiewicz wokalista Video – przyp. red) i mówi: „I jak ja mam teraz po takim występie wyjść tam i śpiewać?” (śmiech).

Jest się czym chwalić, ale sukcesów masz dużo więcej. Zaczniemy więc od początku. Jak trafiłeś do Szansy na Sukces?

– W 2002 r. wystąpiłem na Festiwalu Piosenki Angielskiej w Brzegu, gdzie zdobyłem nagrodę główną Grand Prix Festiwalu. W komisji była pani Ela Skrętowska, producentka Szansy na Sukces. To właśnie ona zaprosiła mnie do udziału w programie.

I znów był sukces...

– Tak sobie myślę, że życie składa się z różnych okazji i człowiek albo je wykorzystaje, albo nie. Wierzę, że dobrze wykorzystałem to co los mi przyniósł. Wystąpiłem w programie z udziałem zespołu Brathanki i wygrałem go. Dzięki temu zaczęto zapraszać mnie na wiele koncertów organizowanych przez ekipę Szansy. Podpisałem wtedy z nimi roczny kontrakt i przez ten okres musiałem

być do dyspozycji TVP. Oczywiście równoległe występowałem ze swoimi zespołami.

Stałeś się wtedy popularny...

– Faktycznie, odczułem lekką popularność. Mieszkałem wtedy w Warszawie i nawet tam ludzie zaczepiali mnie na ulicy, bo mnie zapamiętali. Gratulowali mi, to były zawsze miłe słowa, naprawdę. Traktowałem to jako fajną przygodę, bo faktycznie to była przygoda. Zawsze pamiętałem, że przecież takich ludzi jak ja jest setki.

A jak to było z zespołem For Teens?

– To był zupełny przypadek. Jestem z Białej, a reszta zespołu jest z Kraśnika. Skontaktowałem nas ze sobą lubelski bard Janek Kondrak, który słyszał mój występ w Klubie Kultury Piast. Wiedział, że chłopaki z zespołu, który wtedy nazywał się Paranormal, szukają wokalisty. Zaczęliśmy ze sobą korespondować, w końcu w 2005 r. zaczęliśmy współpracę, a w 2008 r. powstał For Teens.

Wasza piosenka „Jesteś częścią mnie” odniosła naprawdę duży sukces.

– Był to czysty przypadek, bo kolega z zespołu wysłał zgłoszenie, nie informując nas o tym fakcie. Zakładając, że i tak się nie dostaniemy, postanowił zgłosić ją do konkursu festiwalu w Sopocie. Okazało się, że zostaliśmy zakwalifikowani i wystąpiliśmy w konkursie finałowym w 54. Międzynarodowym Sopot Festival w 2008 r. Po tym występie nasz utwór można było usłyszeć wszędzie, został też zakupiony do serialu „Barwy Szczęścia” i przez kilka sezonów był piosenką końcową.

Co teraz słychać u For Teens?

– Chwilowo zawiesiliśmy działalność, ale nie znaczy, że znów nie będziemy grać. Mamy materiał przygotowany na płytę, jest już nawet zmasterowany. Wystarczy go tylko wydać, chociaż właściwie z wydaniem też nie byłoby problemu, ale nie mamy funduszy na promocję. Nie tracimy jednak nadziei.

Grałeś u boku wielu gwiazd polskiej sceny muzycznej. Czy w tym świecie można się zaprzyjaźnić, znaleźć wspólny język?

– Tak naprawdę ze wszystkim muzykami, z którym się spotykaliśmy, mamy jakąś nić porozumienia, bo przecież łączy nas pasja. W większości przypadków są to tacy ludzie jak my, którzy po koncertach pędzą do swoich domów, rodzin. Często ich wizerunek w mediach jest przekłamany. Miałem taki bardzo fajny epizod z Maćkiem Maleńczukiem. Graliśmy na jednej scenie i spotkaliśmy się w namiocie. Jeden z kolegów mówi do Maleńczuka: „Czy ty wiesz, że nie jesteś jedynym Maleńczukiem, który dziś wystąpił. Bo ten gość, który przed tobą śpiewał, to też Maleńczuk”. Popatrzył zdziwiony i nagle mówi: „Pie...sz, to wołaj go”. Podeszedłem, poznaliśmy się, gadaliśmy. To naprawdę fajny, normalny facet i nie do końca jest taki, jak go ludzie postrzegają.

Na scenie można zobaczyć cię nie tylko przy mikrofonie. Udzielasz się też jako perkusista.

– Gry na perkusji zacząłem uczyć się, będąc w szkole zawodowej. Wiadomo, pierwsze kapele, podpatrywanie innych muzyków, pierwsze lekcje gry. Jednak głównie uczyłem się sam. I tak było przez długie lata. Aż w końcu dostałem się na Akademię Muzyczną w Gdańsku. Ale to długa historia.

Opowiedz ją.

– Za namową mojego przyjaciela zdecydowałem się w końcu na studia muzyczne, na wokal. Dwa egzaminy z trzech zdałem, ale okazało się, że mam jeszcze jeden, na którym, nie mogę zostać, bo miał być następnego dnia, na który miałem już zakontraktowany koncert. Pomyślałem, że szkoda byłoby teraz rezygnować. Okazało się, że można było jeszcze przystąpić do egzaminu na perkusję, więc zgłosiłem się. Tym razem udało się i dostałem się. Dodam, że zdawałem na studia zaoczne, ale jakieś pół godziny później egzaminator zaproponował mi przejście na studia dzienne. No i przeniósłem się do Gdańska. Tamten czas i kontakty, które zdobyłem, procentują do dziś.

Wspominałeś, że często grasz z bratem. Cała twoja rodzina jest muzyczna?

– Chęć tworzenia muzyki to zasługa genów dziadka. Był bardzo zdolnym samoukiem. Niestety zmarł, kiedy byłem bardzo mały, ale zdążył wiele rzeczy przekazać mojemu najstarszemu bratu i to właśnie on zaraził nas muzyką. Mam pięcioro rodzeństwa i tylko jedno z nas nie jest uzdolnione muzycznie, poza tym wszyscy zajmują się muzyką.

Właściwie cały czas mówimy o muzyce. Czyli jest ona dla ciebie najważniejsza.

– Uwielbiam muzykę. Gdy coś robię, to musi mi coś grać. Nie wyobrażam sobie życia bez dźwięków. Gdybym stracił słuch, to żyłoby chyba 20 proc. mnie. Słucham różnej muzyki, zależnie od nastroju, ale przyznam, że nie każdą muzykę rozumiem, np. są takie odłamy jazzu, przy których zastanawiam się,

czemu w ogóle powstały.

A muzyka klasyczna, o której we współczesnym świecie trochę się zapomina?

– W muzyce klasycznej zakochałem się na studiach. Miałem z nią styczność na żywo. Zupełnie przez przypadek poszedłem na próbę orkiestry symfonicznej. Jak zaczęli grać, to dosłownie wbiło mnie w fotel. To jest nieprawdopodobnie jak instrumenty brzmią razem na żywo, kiedy widać, że to nie jest sztuczne. Wtedy z własnej nieprzymuszonej woli zacząłem chodzić na próby orkiestry. To było niesamowite.

A czy jest coś poza muzyką, czemu chętnie poświęcasz swój czas?

– Lubię samochody, a właściwie lubię przy nich dłużyć. Zresztą jeden z moich wyuczonych zawodów to ślusarz mechanik. Jednak nie tylko samochody chętnie naprawiam. Nie lubię, jak coś nie działa, więc frajdę sprawia mi każdy zepsuty sprzęt, który mogę rozkręcić, podłubać w nim, a później skrócić go.

Był czas, kiedy twoja kariera kręciła się bardzo szybko, mimo to postanowiłeś mieszkać w Białej.

– Sporo osób dziwiło się, że po studiach wracam do Białej. Pytali po co, co ja tu będę robił, ale mam tu wszystko, czego mi potrzeba. Poza tym na koncerty po Polsce można dojeżdżać z każdego miasta. Na przykład do Warszawy mam stąd dużo bliżej niż z Gdańska. Teraz moi znajomi z Trójmiasta i ze stolicy rozumieją mnie. A czasem są w szoku, mówią, że u nas jest tak przyjemnie, spokojnie, nigdzie się nie pędzi, ludzie uśmiechają się do siebie, w każdej chwili można spotkać kogoś znajomego, stanąć na chwilę i porozmawiać. Rzadko gdzieś się biegnie. Można tu przyjemnie żyć...

Jeśli tylko można żyć z muzyki...

– Tak, przynajmniej, teraz żyję tylko z muzyki. Zapracowałem sobie na to i nadal pracuję. Żaden z zespołów, z którymi gram, nie ma menadżera, więc sam zajmuję się pracą menadżerską. W te dni, kiedy nie gramy koncertów, wstaję ok. 9.00-10.00 i siadam do komputera. Sprawdzam pocztę, zerkam w terminarz, szukam kolejnych imprez, na których moglibyśmy wystąpić, planuję trasę, potem dzwonię, próbując załatwić kolejny występ.

Czy masz czas na życie prywatne?

– Niewiele, ale tak. W końcu każdy potrzebuje czasu, kiedy się wycisza i osoby, z którą można porozmawiać o wszystkim, niczego nie ukrywając, przy której można być sobą. Ja od niedawna mam taką osobę u swego boku i z nią spędzam czas.

Jakimi wartościami kierujesz się w życiu?

– Dla mnie największą wartością jest zdrowie i trzeba je szanować. Ważny jest też szacunek dla drugiego człowieka. Staram się okazywać szacunek wszystkim. Poza tym wiem, że trzeba być sobą, mieć swój rozum i postępować, tak żeby nie utrudniać innym życia. Trzeba być dobrym człowiekiem. ◀



Muzyczna pustynia z oazami

Porządnie gra się wciąż na zachód od Wisły, z drugiej strony rzeki nie ma praktycznie żadnych propozycji, trafia się tam jeden dobry koncert na pięćdziesiąt. – Nawet w Lublinie niewiele się dzieje – opowiada jeden z muzyków, który na brak koncertowych ofert narzekać nie może. Wschodnią Polskę, skąd pochodzi, określa mianem „żałowej ziemi” i „ściany płaczu”.

Dlaczego tak się dzieje, próbuje wyjaśnić pracownik prowincjonalnego ośrodka kultury. – Samorządy spinają się raz w roku na dni miasta czy gminy. Nikt nie chce ryzykować, więc zamawia muzykę łatwą i przyjemną. Zaproszenie takiego powiedzmy Bajmu to gwarancja tłumów na imprezie i sukcesu. Ale od strony finansowej wygląda to tak, że za kasę wydaną na jedną letnią plenerową imprezę można by zrobić dwa, a czasem nawet trzy dobre koncerty – stwierdza.

Ostatnio jest coraz gorzej, wręcz koszmarnie. Koncerty Kultu, T. Love czy Hey w Białej Podlaskiej zaczęły chyba wspominać z rozrzewnieniem, choć to zespoły, które już dawno przestały we mnie budzić emocje.

W wakacje mamy wysyp imprez plenerowych. W minionych latach trafiały się naprawdę fajne wycieczki krajoznawczo-muzyczne. Wspomnę chociażby Raz Dwa Trzy w Łosicach czy w ubiegłym roku w Białej, ale też Myslovitz (z Rojkiem!) w Siemiatyczach. Wiem, że jest Trawniq i Summer Off. Czasem trafi się dobry koncert jazzowy, a do Międzyrzecza ściągną Republikę. Nie zmienia to jednak faktu, że na ogół serwuje się nam byle co, po to jedynie, by stworzyć pozory działalności kulturalnej.

W tym roku na tej muzycznej pustyni zaświecił jedynie Międzyrzec Podlaski, w którym po zmianie władz samorządowych zrezygnowano z organizacji discopolowych spędów. Zagrał za to bardzo dobrze rokujący Kortez i wystąpiła Republika z całą plejadą znanych wokalistów (Ania Dąbrowska, Tymon Tymański, Tomek Makowiecki). I ten koncert śmiało można określić mianem artystycznego wydarzenia.

Czy to samo można powiedzieć o białskim Summer Off? Wprawdzie mam mieszane uczucia, jednak powiedzmy, że tak. To pewnie efekt doboru wykonawców. Reggae w wykonaniu Etna Kontrabande wynudziło mnie niemiłosiernie (niewiele osób zgromadziło też pod sceną), a rockowa Luxtorpeda jakoś do mnie nie przemawia. Na

tym tle najciekawiej wypadli Łona i Webber. Ironiczne i inteligentne teksty, utwory ciekawie zaaranżowane i wykonane przez towarzyszący im zespół The Pimps. Bez wątplenia było to wydarzenie numer jeden tej imprezy. Dodam jeszcze, że bardzo sympatycznie można było spędzić czas w odrestaurowanej części parku, przy piwie i klubowej muzyce.

No i teraz wypada mi się wytłumaczyć, dlaczego narzekam, skoro jednego lata na Podlasiu miałem okazję uczestniczyć w dwóch dobrych imprezach. Krótko mówiąc, to jedynie wyjątki od reguły. Jeden czy dwa dobre koncerty nie zmieniają faktu, że potem przez całe miesiące nic się nie dzieje. Instytucje kultury nie spełniają swojej roli. Nie są miejscem, gdzie młody człowiek może dowiedzieć się, co jest dobre, co złe, co intrygujące, a co kiczowate. A samorządy wręcz lansują ten kicz, urządzając plenerowe imprezy z gwiazdkami disco polo.

Zdaję sobie sprawę z tego, że istnieją również pewne bariery mentalne. Ludzie często nie przychodzą na wydarzenia kulturalne, uznając, że to nie dla nich. Trzeba jednak podejmować ryzyko i oferować mieszkańcom rozrywkę na wyższym poziomie niż ta z Polo TV.

Zmienia się nasze otoczenie. Mamy nowe drogi, chodniki, ładnie wyglądają centra naszych miast. A mimo to wciąż odnoszę wrażenie, i nie jestem w tym odosobniony, że dystans w rozwoju regionów i poziomie życia zamiast zmniejszać się, ulega ciąglemu powiększaniu.

Niestety, dzieje się tak między innymi dlatego, że w sferze kultury wsparcie otrzymują jedynie duże ośrodki, takie jak Lublin czy Białystok. To dzięki wsparciu Narodowego Centrum Kultury Lublin ma Festiwal Inne Brzmienia, na którym w tym roku wystąpili m.in. awangardowcy z Einsturzende Neubauten czy legendarny czeski Plastic People of the Universe. Z kolei na białostockim Halfway Festival śpiewała Emiliana Torrini, SoKo i Sharon Van Etten. Tymczasem i na prowincji jest zapotrzebowanie na tzw. wyższą kulturę. W Międzyrzeczu na koncert polsko-japońskiego trio jazzowego Tamaya Honda/Michiyo Yagi/Wacław Zimpel przyszło prawie dwieście osób. To naprawdę dobra frekwencja. Takie inicjatywy wymagają jednak wsparcia. Bo na wschodzie leżą nie tylko Lublin i Białystok. ◀



„Wiem, że jest Trawniq i Summer Off. Czasem trafi się dobry koncert jazzowy, a do Międzyrzecza Podlaskiego ściągną Republikę. Nie zmienia to jednak faktu, że na ogół serwuje się nam byle co, po to jedynie, by stworzyć pozory działalności kulturalnej. Niestety, dzieje się tak między innymi dlatego, że w sferze kultury wsparcie otrzymują jedynie duże ośrodki, takie jak Lublin czy Białystok (...). Tymczasem i na prowincji jest zapotrzebowanie na tzw. wyższą kulturę.

Sielski klimat, swojski smak

Małgorzata Tymoszuik



„Warkocze upieczone z czosnku, kwiaty, drewniane liczydła, mnóstwo kamionki oraz elementy strzechy z drewnem nadają temu miejscu swojski klimat. Oczywiście nie brakuje współczesnych dekoracji. Wizualnie wszystko dosyć dobrze ze sobą współgra. Drewniane stoły z ławami wyścielone miękkimi narzutami zachęcają, by zostać tu dłużej.

Jak biesiada, to tylko w Sielskiej. Ta restauracja kusi swojskim smacznym jadem. Warto tu zajrzeć nie tylko na pierogi czy tatara, ale też spróbować dań sezonowych, jak kurki czy rydze. Ale w menu mają znacznie więcej przysmaków. Sierpień niepostrzeżenie stał się wrześniem. Nie wiem, jak to się dzieje, że lato tak szybko mija. Ciepłe dni pozwalały mi zbyt długo żyć

w złudnym przeświadczeniu, że tak zawsze już będzie. Kocham nowe, nieodkryte jeszcze przede mną miejsca. A najlepiej, jak są to klimatyczne wnętrza, które współgrają ze smaczną kuchnią. Restauracja Sielska przy ul. Jatkowej w Białej Podlaskiej spełnia wszystkie te wymogi. Na zakończenie urlopu odwiedzam właśnie to miejsce. Myślę, że to dobry pomysł na symboliczne podsumowanie wakacji.

W środku jest naprawdę nastrojowo. Wnętrze działa na moje zmysły. Mam wrażenie, że przeniosłam się do staropolskiej kuchni. Warkocze upieczone z czosnku, kwiaty, drewniane liczydła, mnóstwo kamionki oraz elementy strzechy z drewnem nadają temu miejscu swojski klimat. Oczywiście nie brakuje współczesnych dekoracji. Wizualnie wszystko dosyć dobrze ze sobą współgra. Drewniane stoły z ławami wyścielone miękkimi narzutami zachęcają, by zostać tu dłużej.

Wyśmienite przystawki

Dziś obiad będzie syty, co nie oznacza, że przeładowany kaloriami. O serwowanym tu tatarze słyszałam już dawno od naszej naczelną, w czasach, kiedy jeszcze nią nie była. Uległam namowom, by spróbować tego dania, choć przyznaję, że to dla mnie pewnego rodzaju wyzwanie.

Tatar wołowy najlepiej smakuje jako zakąska do dobrze schłodzonej wódki. Porcja mięsa nabiera smaku po dodaniu drobniotko pokrojonych dodatków, tj. korniszona, marynowanych grzybków, szalotki i nieodłącznego żółtka (16 zł). Mięso jest doskonale schłodzone i wyśmienicie smakuje ze świeżo mielonym pieprzem. Teraz pora na grzyby, które rzadko możemy spotkać na naszych stołach – rydze. Z natury są wspaniałe i wyjątkowo smaczne. A najlepsze są młode i świeże. Powinny być smażone na klarowanym maśle kapeluszami do dołu. Bardzo łatwo jest je przypalić, a tym samym zbyt szybko wysuszyć. W Sielskiej rydze są doskonałe (16 zł). Wręcz idealne. Kucharz wie oczywiście, że soli się je dopiero po usmażeniu. W Sielskiej smażone rydze smakują wybornie.

Danie główne

Idealnie wysmażony łosoś z delikatną nutą cytryny w lekkim maślanym sosie zachwyci każdego. Jego smak idealnie współgra z panierką, która składa się z prażonych płatków migdałów i sezamu (27 zł). Aby łosoś był soczysty i smaczny, ważne jest aby zbyt długo nie poddawać go działaniu wysokiej temperatury. Mój Głodomór skusił się na dużą por-



cję schabu (27 zł) z przyrumienionymi ziemniaczkami i zestawem surówek. Kotlet jest nadziewany grzybami i serem feta, a całość skąpana w delikatnym i bardzo aromatycznym serowym sosie. Odcinam kawałek do spróbowania i jestem naprawdę pod wrażeniem. To jest znakomite. Wszystkie składniki idealnie do siebie pasują.

Białskie smaki

Naprawdę możemy mieć powody do dumy. W Białej Podlaskiej kultura jedzenia rozkwita i ilość miejsc godnych uwagi do odwiedzenia jest coraz więcej. Możemy śmiało zacząć obchodzić święto restauracji, tzw. restaurant week. To wydarzenie kulinarne, w którym uczestniczą najlepsze restauracje największych polskich miast, kiedy w jednej cenie możemy delektować się najlepszymi posiłkami. A Sielska jak najbardziej zasługuje na udział w tego typu kulinarnej przedsięwzięciu. Już teraz postanawiam, że wrócę tu, do tego smacznego i uroczonego miejsca za jakiś czas, by spróbować kolejnych dań. Moja ocena 9/10. ◀

Siła człowieka

Samo przebywanie w różnorodnym towarzystwie sprawia, że rozmawiamy, dzielimy się spostrzeżeniami, myślami, poglądami... Inni inspirują nas i motywują. Wielokrotnie przeżywałam różne trudne chwile w życiu i niezależnie od skali czy rodzaju problemów, jakie napotkałam, zawsze w wyjściu z nich pomagał mi kontakt z innymi ludźmi. Bez wątplenia łatwiej znosimy niepowodzenia, kiedy mamy regularne kontakty, pozwalające wygadać się, posłuchać odmiennych punktów widzenia czy poznać cudze rozterki. Zdarza się, że znajomi borykają się z kłopotami, w porównaniu z którymi nasze zmartwienia nikną i stają się drobiazgami.

Innym przykładem jest życie zawodowe. Kiedy idziemy do pracy, w której odpowiadamy za zakres jakichś obowiązków, to czujemy się potrzebni. To sprawia, że myślimy o sobie pozytywnie i takim nastawieniem dzielimy się z kolegami. Tym samym i oni korzystają, bo zadowolenie i uśmiech udzielają się. Jeżeli ponadto mamy szansę spełniać się w pracy, robić coś, co lubimy, co daje satysfakcję nam albo przyczynia się do rozwoju czy dobra ogółu, to rośnie nasze poczucie własnej wartości. Spełniamy się, dając jedno-

ześnie coś innym. To samonapędzające się koło wzajemnych korzyści motywuje do aktywności. Chce nam się działać, mimo przeszkód.

Nic nie daje jednak takiego napędu, jak możliwość dzielenia się z innymi. Kiedy nasza praca, zaangażowanie czy pomoc spotyka się z pozytywną reakcją osób, które odnoszą dzięki nam korzyści, jesteśmy zwyczajnie nagradzani za nasz wysiłek. Bycie docenianym jest jedną z najlepszych motywacji do określonych zachowań. Daje też siłę i wiarę w sukces. Również dzieci potrafią odwdzięczać się nam za nasz trud wychowania bezcennym uśmiechem czy niespodziewanym uściskiem.

Bywa, że padam z sił po całym dniu biegania za maluchem, ale kiedy wtula się we mnie, kiedy leżę zmęczona na podłodze, to wiem, że docenia moją miłość i odwzajemnia ją. A po to przecież dajemy życie, żeby nas wzbogacało i było pełne radości i pozytywnych uczuć.

Nie pamiętam, kto powiedział mi kiedyś, że szczęście to jedyne dobro, które się mnoży, jak się dzielimy. Warto więc obdarowywać innych swoim optymizmem i otaczać się ludźmi, którzy nas budują. Świat dookoła nas będzie piękniejszy i bardziej przyjazny. ◀

Karolina Laszuk



„ Nic nie daje (...) takiego napędu, jak możliwość dzielenia się z innymi.

FITNESS CLUB
PROGYM

SŁOWNIA
FITNESS
PROGYM BEAUTY

NAJWIĘKSZY KLUB PREMIUM W REGIONIE
PONAD 1000m² !!!

NOWA JAKOŚĆ W MIEŚCIE - SPRAWDŹ NAS
www.progymclub.com

21-500 Biała Podlaska
ul. Janowska 59
Tel 796 714 787
e-mail: repcja@progymclub.com

SIŁOWNIA - FITNESS - WELLNESS
SAUNA - STREFA RELAKSU
PROGYM BEAUTY
FRYZJER - KOSMETYKA
DIETA - LOUNGE BAR
SUPLEMENTY
SZKOLENIA - KONSULTACJE

ZAPRASZAMY

PROGYM
FITNESS CLUB

► Jesień rozpoczynamy aktywnie! Na panie i panów po sześćdziesiątce (tak, tak wiek ma tutaj istotne znaczenie) przygotowano całe mnóstwo atrakcji w ramach „Aktywnej jesieni bialskich seniorów”. 29 września ruszają warsztaty dla seniorów, które potrwać do 27 listopada. W każdy wtorek i czwartek Bialskie Centrum Kultury zaprasza na różnorodnie tematycznie zajęcia, wśród których każdy z pewnością znajdzie coś dla siebie. Przygotowano również dwa wyjazdy do Teatru Wielkiego i Opery i Filharmonii Podlaskiej. Wszak o to chodzi, żeby nie dać się jesieni!

► Czas też rozpocząć XXIV edycję Podlaskiej Jesieni Teatralnej. Miłośnicy teatru – łączmy się! Zarówno podczas spektakli, które można będzie obejrzeć w Białej Podlaskiej, jak i podczas widowisk prezentowanych na deskach warszawskich teatrów. Warto!

► W Muzeum Południowego Podlasia można obejrzeć wystawę „Polski rower w II Rzeczypospolitej. 1918-1939”, na którą składają się wiekowe jednoślady. Ekspozycja naprawdę ciekawa. Czynna do 30 listopada.

► W Galerii Podlaskiej zrobi się onirycznie i refleksyjnie za sprawą wernisażu Angeliki Milaniuk-Mitruk, której obrazy będziemy mogli oglądać przy Warszawskiej 12 od 2 października do 5 listopada.



BIAŁA PODLASKA
AULA AWF
ul. Akademicka 2

ORGANIZATOR
BIAŁKOPODLASKIE
STOWARZYSZENIE
JAZZOWE

DYREKTOR
FESTIWALU
JAROSŁAW
MICHALUK

14 EDYCJA

2015
PODLASIE
Jazz
FESTIVAL

SOBOTA 17 PAŹDZIERNIKA GODZ. 18.00
KRYSTIAN BRODAKCI RECITAL
JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI QUARTET
EWA BEM & ANDRZEJ JAGODZIŃSKI

NIEDZIELA 18 PAŹDZIERNIKA GODZ. 18.00
PATSY GAMBLE BAND / UK, PL /
MONIKA BORZYM Z ZESPOŁEM

Nie dać się jesieni

Justyna Kirczuk

Bialskie Centrum Kultury rozpoczyna realizację projektu „Aktywna jesień bialskich seniorów”. Cel? Animatorzy kultury zachęcają do wyjścia z domu, zmiany otoczenia i poznania ciekawych ludzi. Oprócz rozwoju osobistego jest jeszcze coś – dwa specjalnie zorganizowane wyjazdy do Teatru Wielkiego w Warszawie i Opery i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku.

Pani Elżbieta, jedna z bialskich senierek, doskonale wie, jak bardzo potrzebny jest w jej wieku kontakt z innymi ludźmi oraz urozmaicenie czasu wolnego. – Kiedyś bardzo dużo pracowałam, wychowywałam dzieci, nie miałam ani jednej wolnej chwili dla siebie, a teraz? Mąż zmarł, dzieci usamodzielniały się, wyjechały, w domu cisza... Jedyna rozrywka to telewizja. Oczywiście są znajome, koleżanki, ale ileż razy można rozmawiać o tych samych sprawach, o codzienności, o tym, co boli i w którym sklepie najlepsze promocje? – mówi Elżbieta Chaberska. Stąd pomysł, by zrealizować działania nastawione na aktywizację bialskich seniorów. Przede wszystkim chodzi o rozwój ich pasji i zainteresowań, ale także dostarczenie im okazji do kontaktu ze sztuką i kulturą.

– Wychodzimy do seniorów, dajemy im szansę na skorzystanie z ciekawych propozycji stworzonych specjalnie z myślą o osobach w wieku 60 i więcej lat – wyja-

śnia Zbigniew Kapela, wicedyrektor Bialskiego Centrum Kultury. To właśnie z myślą o seniorach powstał specjalny projekt, który współfinansuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Kultura Dostępna”. Przewiduje m.in. warsztaty, które poprowadzą wykładowcy bialskiej Akademii Wychowania Fizycznego oraz Państwowej Szkoły Wyższej, instruktorzy Bialskiego Centrum Kultury oraz Miejskiej Biblioteki Publicznej. Zakres tematyczny jest różnorodny i z całą pewnością każdy znajdzie coś dla siebie. – Zaczniemy od czegoś, co zainteresuje białczanki. Proponujemy im porady z zakresu doboru garderoby do określonej sylwetki, makijażu, ale będzie też coś dla ducha. Przeprowadzimy cykl spotkań z psychologiem na temat radzenia sobie z trudnymi sytuacjami życiowymi oraz z prawnikiem, który uczuli na ukryte zapisy w różnego rodzaju umowach. Będziemy również zachęcać do zdrowego stylu życia, zmiany nawyków, gimnastyki ciała i umysłu

– wylicza Kapela. Seniorzy będą też mieli okazję zdobycia praktycznych umiejętności, jak obsługa komputera. – Mamy nadzieję, że seniorzy ucieszą się z kursów tańca towarzyskiego oraz ze specjalnych pokazów filmowych – liczy wicedyrektor BCK. Projekt przewiduje również wyjazdy do Teatru Wielkiego w Warszawie na spektakl „Don Kichot” oraz Opery i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku na spektakl „Carmen”. Bezpлатne, co należy podkreślić, warsztaty, będą trwać od końca września do końca listopada, w każdy wtorek i czwartek w godzinach 10.00-14.00. ◀





Za mundurem panny sznurem, ale i panowie lubią defilady wojskowe. Notatka z 1935 r. pokazuje, że przemarsz wojska to zawsze swego rodzaju święto. Zapewne nie tylko kwiaty było na czym (kim) zawiesić, ale i oko. Ocenę amatorskiego przedstawienia traktujemy jako troskę o poziom lokalnej kultury, zaś aferę pończoszkową i wojenkę woźnych uznajemy za element miejskiej higieny życia – żeby nie było za słodko. [PP]

wrzesień 1935 r.

„W dniu 12 b.m. powrócił z manewrów 34 p. p. Wkraczającym do miasta żołnierzom, tłumnie zebrana publiczność z przedstawicielami władz cywilnych i organizacji społecznych, zgotowała owacyjne powitanie. Na ul. Warszawskiej ustawione szpalery młodzieży obu gimnazjów oraz szkół powszechnych zarzuciły żołnierzy kwiatami. Przy bramie triumfalnej, na której widniał napis „Witamy” powitał Dowódcę Garnizonu, pułkownika Świąteckiego, Starosta powiatowy p. ST. Modliński. Następnie w imieniu ludności, w krótkich i serdecznych słowach wygłosił powitanie Vice-burmistrz p. J. Abramowicz. (...) Po defiladzie (...) zmęczeni lecz dziarscy żołnierze, ukwieceni, pomaszzerowali do koszar. Społeczeństwo rozumie, że wojsko jest naszą chlubą – manifestowało i obsypywało kwiatami żołnierzy, bo widzi w armji naszej: siłę Państwa, potęgę Polski, jej bezpieczeństwo, a zarazem gwarancję Pokoju.”

„W dniu 15 b. m. w sali K.P.W. na Woli zespół miłośników sceny Cisami odegrał trzyaktową sztukę pod tytułem „Radca pana radcy”. Przed przedstawieniem chór męski odśpiewał szereg pieśni. Chórem dyrygował pan K. Walczuk. (...) Następnie (...) publiczność miała możliwość oglądać niezmordowanych amatorów sceny. Tytułową rolę odegrał z dużym talentem (...) p. Antoni Stankiewicz – z partnerką p. Heleną Tokarską, w roli radczyni, uzdolnioną amatorką desek scenicznych. (...) Trzecia postać – Eufrozyna, odtworzona przez p. Laskowską (...) wypadła nieco gorzej, ze względu na dość słaby głos, przechodzący momentami w niedosłyszalny szept. Warto nadmienić, że widz nie tylko patrzy ale i słucha i nie można go pozbawić tej przyjemności. Dość blado wypadły pozostałe role młodych jeszcze i nie posiadających rutyny aktorskiej debutantów... Jeśli jeszcze uwzględnimy inne okoliczności,

jak trudności techniczne i dekoracyjne, to trzeba przyznać, że reżyser rozwiązał całość dość udatnie. Dlatego też reżyserowi – p. Z. Kozakiewiczowi należy się uznanie. Dotychczasowe owoce pracy p. Kozakiewicza świadczą o tym, że przyświeca mu piękna zasada: „Chcieć – to móc”.

„W dniu 14 b.m. zawiątał do nas po raz pierwszy teatr Wołyński, wystawiając sztukę Bus Feket’a p.t. „To więcej niż miłość” – z udziałem Burbianka Eugenja, Domańska Jadwiga, Gosławska Jadwiga, Ippoldtówna Helena, Sławińska Zofja, Jaglarz Roman, Kowalczyk Edward, Ławski Eugenjusz, Modrzeński Wacław, Orłowski Piotr, Skwierczyński Leopold, Wasilewski Ryszard. (...) Reżyserja bardzo staranna, świetna gra artystów, wzbudziły ogólny zachwyt białskiej publiczności.”

„Małek Jan i Cholewiński Aleksander, woźni gimnazjum męskiego, będąc w stanie nietrzeźwym, wszczęli w dniu 1 b.m. między sobą bójkę na ulicy Warszawskiej. Nie pomogła interwencja policji, a bardziej czupurny od Cholewińskiego Małek Jan, począł ubliżać policjantom. Skutek był taki, że obu „zaproszono” na posterunek policji. (...) Obaj odpowiadać będą za zakłócanie spokoju nocnego.”

„Walter Stanisława z ul. Łomaskiej, udała się do sklepu Torenhejm Dory po pończoszki. Zamiast je nabyć, usiłowała je ukraść i to nie jedną, a 2 pary. Niestety kradzież zauważono i p. Stanisławę zatrzymano. Odpowiadać będzie przed Sądem Grodzkim za kradzież.”

Gdyby usunąć datę i nieco uwspółcześnić stylistykę, informacje z września r. 1936 mogłyby się pojawić w lokalnej prasie i dziś.

wrzesień 1936 r.

„Dnia 3. 9. b.r. nastąpiło w Białej Podl. uroczyste rozpoczęcie 1936/37 r. szk. Z rana dzieci i młodzież wszystkich szkół tutejszych i kilku najbliższych szkół pozamiejscowych udały się wraz z gronem nauczycielskim na uroczyste nabożeństwo do kościołów N.M.P. i św. Antoniego. (...) Po nabożeństwie młodzież wróciła do szkół, gdzie odbył się podział na klasy oraz inauguracyjna lekcja wychowawcza (...).”

„Regulacja Krzny i budowa szluzu wodnej. Będąca od dłuższego czasu na porządku dziennym sprawa regulacji Krzny na terenach, należących administracyjnie do gminy Biała Podl., jest obecnie, jak wiadomo, w stadium realizacji prawnej. W związku z tem zwróciliśmy się o bliższe informacje do burmistrza miasta inż. A. Waławskiego.” [Dziennikarz zapytał o powody wniesienia zastrzeżeń do protokołu komisji wodnej dotyczącego projektu regulacji rzeki. Odpowiedź burmistrza była wyczerpująca i już wiemy, dlaczego nie mamy nad Krzną kąpielisk – PP]. „Jakich obiekcji dotyczy

wniesione przez p. burmistrza zastrzeżenie? – Powody są bardzo ważne i związane w wysokim stopniu z interesem mieszkańców Białej Podl. (...) Powstaje obawa, iż część łąk nadrzecznych ulegnie – z dużymi stratami dla ich właścicieli – przesuszeniu; pozatem – rzecz niemniej ważna – mieszkańcy miasta zostaną pozbawieni istniejących obecnie kąpielisk (...).”

W 1938 r. w Białej wydobyto rury, ciekawe co znajduje się w wałbrzyskim pociągu.

wrzesień 1938 r.

„Dzięki inicjatywie wiceburmistrza p. J. Abramowicza wydobyto znajdujące się od wielu lat w ziemi przy ul. Janowskiej i ul. Brzeskiej wysokowartościowe, cynkowe rury wiertnicze. Rury te były założone do studzien artezyjskich w czasach zaborczych. Podobno wydobyte rury przedstawiają dla miasta wartość ponad 1200 zł.”



9 września 1928 r.

„Rok 1928 jest rokiem jubileuszowym gimnazjum męskiego w Białej. W tym roku (...) 23 września obchodzić będzie gimnazjum 300-lecie swoje. Dzieje gimnazjum to szereg chlubnych kart...”

Protectorat łaskawie objął p. Minister W. R.O.-P. Dr. Kaz. Świtalski, członkami honorowymi są J.E. Ks. Biskup Henryk Przeździecki, Wojewoda Remiszewski, Kurator Okr. Szkoln. Lubel – p. Pieracki, generał Trojanowski – Kom. D.O.K. IX, Rektor Uniwersytetu Krakowskiego, oraz znany historyk Kaz. Bartoszewicz, wnuk prof. gimn. Adama Bartoszewicza i szereg wybitnych osób. Obowiązkiem więc całego społeczeństwa jest wziąć udział w dniu obchodu, aby dzień ten wypadł jak najuroczyściej i upamiętnił się w społeczeństwie Białskim.”

Nie popieramy absolutnie fałszerstwa, ale jesteśmy pod wrażeniem dokonania fałszerzy monet: w tym kontekście podrobienie banknotu wydaje nam się fraszką. Do apelu o niezanieczyszczenia chodników pestkami dokładamy swoje trzy grosze i apelujemy do miłośników słoneczników, nałogowych rozrzucaczy łupinek. Może nie są tak niebezpieczne, ale szpecą okrutnie. Paryski sukces białczanki cieszyłby dziś na pewno tak samo, zaś notka o szkole zawodowej to wyraz naszej tęsknoty za tymi tak potrzebnymi placówkami. Idea konkursu wystaw sklepowych bardzo nam się podoba, podobnie jak i zbiorowe pożegnanie bocianów. Może włączymy je do kalendarza miejskich imprez, co Wy na to, drodzy czytelnicy? [PP] <

LEADER SCHOOL®

NOWOCZESNE METODY NAUCZANIA

BEZPŁATNE LEKCJE POKAZOWE

zarezerwuj miejsce już dziś!



angielski



rosyjski



niemiecki



włoski



- języki obce dla dzieci, młodzieży i dorosłych
- kursy językowe dla firm
- kolonie i obozy językowe

Biała Podlaska, ul. Reformacka 10, III piętro

tel. 83 342 43 43, 517 870 434 www.bialapodlaska.leaderschool.pl